91

N-15

318
290
598

see
2813 | Pd

940.548

№ 15 —

SZLAKIEM
KRWI I ŁEZ

BIBLIOTEKA POLSKA W LONDYNIE
DAR
* POSK *

Egipt. Jerzy Potocki

Abukir.
18.II.41.

117056

X. LEON ŁOMIŃSKI

SZLAKIEM KRWI I ŁEZ

WSPOMNIENIA I PRZEŻYCIA
Z WOJNY POLSKO - NIEMIECKIEJ

Jerozolima 1941

All Right reserved

Ж 11125

Printed in Palestine at the Gesher Press, Jerusalem.

Dz 22/93

Pamięci tych, którzy
w obronie Honoru
i Wolności Polski,
życie swe oddali...

SŁOWO WSTĘPNE

Kronikarsko-pamiętnikarski dział literatury zawsze stanowił i stanowić będzie poważne źródło dla historyków i literatów zawodowych. Nabiera on jednak specjalnego znaczenia w odniesieniu do okresu, któryśmy przeżyli i przeżywamy od pamiętnych dni wrześniowych roku 1939.

Dwa są ku temu powody: Przede wszystkim ten, że dzięki nieoczekiwanemu przez nikogo przebiegowi zmagań polsko-niemieckich zaginęła bezpowrotnie większość dokumentów. Pozostali jedynie aktorzy lub świadkowie przeżywanego dramatu i ich zapiski, pamiętniki stanowią jedyne niemal dokumenty tego okresu. Po drugie, odtwarzając „na gorąco" bohaterstwo polskiego żołnierza, tego w mundurze i tego bez munduru, gehennę bezbronnej ludności cywilnej, starców, kobiet i dzieci, wreszcie barbarzyństwo odwiecznego naszego wroga, — już dziś stają się one bezcennym materiałem dla dania wyrazu polskiemu bohaterstwu i polskiej krzywdzie.

Jednym z takich dokumentów jest niewątpliwie niniejszy pamiętnik wojenny.

Bogaty materiał, zebrany przez autora, od pierwszego dnia wojny aż po chwilę internowania w obozie węgierskim, to nietylko przeżycia, ale fakty

i zdarzenia, na które własnymi oczyma patrzył, w których sam był aktorem, na tym — krótkim w czasie, ale jakże bolesnym szlaku krwi i łez, bohaterstwa i krzywdy Narodu Polskiego...

To też pamiętnik ten czyta się jednym tchem; po przeczytaniu zaś—nabiera się szczerej wdzięczności do Autora za to, że tak obrazowo i barwnie, tak bezstronnie i z takim uczuciem potrafił odtworzyć i postawić przed nasze oczy to, cośmy wszyscy tak niedawno przecież przeżyli, a co zacierać już poczynają — czas i nasza żołnierska tułaczka w drodze do odrodzonej Ojczyzny.

T. Sk.

KRWAWY ZNAK

Pali się!... rozległ się złowieszczy i groźny okrzyk na mojej zacisznej plebanii, w cichy wieczór jesienny 1938 roku.

— Jaka straszna łuna na niebie!... krzyknął ktoś za oknami.

Przerwałem czytanie, wstałem od biurka i spojrzałem w okno. Szyby były czerwono-krwistym kolorem zalane. Wybiegłem z domu... Zdawało się, że stary nasz kościółek modrzewiowy stoi cały w ogniu. Poprzez rozłożyste konary odwiecznych i zadumanych topoli, okalających cmentarz kościelny, jak również poprzez gałęzie i drobne, jakby zamarłe liście, przebijał wyraźnie krwawy blask.

Ponure i przejmujące istotnie było to zjawisko. Na blado-niebieskim pogodnym tle nieba, wśród niezliczonych gwiazd błyszczących, ukazał się na północno-wschodniej stronie, gdzieś... jakoby nad Warszawą, mglisty obłok jasny, który za chwilę przybrał kształt wielkiego krzyża. Wokoło, na bezchmurnym błękicie nieba jasność rozlewała się majestatycznie coraz szerzej. Nagle u podstawy tego dziwnego i coraz bardziej rosnącego znaku trysły trzy blade różowo-fioletowe, duże promienie. Po niebie, jak spokojna fala bezbrzeżnego morza, rozpływać się zaczął odblask wielkiego ognia.

Na widok dziwnej i strasznej tej zjawy niebieskiej, ludzie powybiegali przerażeni ze wszystkich chałup. Tu i ówdzie koguty piać zaczęły, dał się słyszeć i głuchy pomruk bydła w zagrodach wiejskich, a gdzieś za ogrodem plebańskim na wsi przeraźliwie wył pies...

Oblani czerwonym światłem krwawej łuny, wystraszeni ludzie stojąc gromadami na ulicy i patrząc na to zjawisko rozwartymi oczyma, w których odbijał się przestrach i przerażenie, szeptali z cicha jedni do drugich: „Wojna!... wojna!... Jeszcze o jednej nie zapomnieliśmy, mój Boże, a tu już i druga ku nam się zbliża. Ciężkie pokaranie Boskie widać zawisło nad światem".

Po pewnym czasie słupiasty obłok, jakby w formie krzyża i ogromne języki ogniste u jego podstawy zaczęły się zlekka rozpływać i blednąć na niebie. Tylko dwa ciemno-krwawe odblaski ognia, w formie rozwichrzonej rózgi, długo jeszcze widniały na wschodniej i zachodniej stronie nieboskłonu. Poczciwi ludziska, mocno przejęci tym krwawym znakiem na niebie, powoli w zadumie rozchodzić się zaczęli po domach.

Do późna jednak w noc błyszczały światła w okienkach chat.

Nazajutrz w niedzielę, wszystkimi drogami, z różnych wiosek przyległych snuła się barwna procesja ludzi, zdążających na sumę do Woli Wiązowej.

Przed bramą kościoła parafialnego stoi gromada chłopów i gwarzy głośno.

— O czemże rozmawiacie tak, moi parafianie? — pytam się podchodząc do nich.

W większości byli to gospodarze już starsi, o siwych lub siwiejących głowach.

— Ha! i o czemże Proboscu gwarzyć, jak nie o tym znaku co wcoraj ześmy na niebie oglądali. Cóż to moze znacyć ten znak Proboscu? chyba bida sie na nos sykuje! — odrzekł Bartłomiej Włodarczyk z Krzywanic.

Zacząłem tłumaczyć im, jak to uczeni ludzie wyjaśniają tego rodzaju zjawiska, zwane w nauce Zorzą polarną.

— My ta chłopi w swoim głupim rozumie inacy se myślimy. Abo przed japońską wojnom, albo i ostatniom nie było znaków na niebie! Proboscu kochany, wojna sie sykuje i to krwawo wojna i okrutno wojna! Dej Boże, żeby choć jesce w tym roku sie nie zaceła.

— Oj sprawdzi sie, co mówili nasi ojcowie — odzywa sie stary Brzozowski z Mierzynowa — i co już królowa Saba przepowiedziała.

Posmutniały czerstwe twarze chłopów obok mnie stojących. Chciałem im coś odpowiedzieć, gdy w tem ostry głos sygnaturki wezwał wszystkich do kościoła...

Za chwilę miała się rozpocząć suma.

NA ZEW OJCZYZNY

Jest dzień 1 września 1939 roku. Z urzędu gminnego w Dąbrowie Rusieckiej rozjechało się kilkunastu gońców na rowerach, rozwożąc do wszystkich osiedli kolorowe wezwania dla rezerwistów i ogłoszenia o powszechnej mobilizacji. Z ust do ust przechodzi jak błyskawica wieść: „Niemcy niespodziewanie zaatakowali granice Polski". Rezerwiści spiesznie wyjeżdżać zaczęli do swoich macierzystych oddziałów wojskowych. Na zew Ojczyzny jechali chętnie. Niektórych odprowadzały na dworzec zapłakane żony. Matki błogosławieństwem bożym żegnały swoich synów.

Pewna staruszka — mego przyjaciela, miejscowego nauczyciela matka zapytana, czy nie żal jej aż dwuch synów odchodzących na wojnę, odpowiedziała. „Na to ich wychowałam, by teraz w potrzebie bronić umieli Ojczyzny".

Na plebanii w Woli Wiązowej, też zapanował niezwykły niecodzienny ruch. Na moje polecenie, aby spakować mi rzeczy, bo jutro wyjeżdżam do księdza Biskupa, a stamtąd może wprost do wojska, służba popłakując z ukradka, wzięła się do pracy, by najniezbędniejsze rzeczy w drogę przygotować. Między innymi kazałem zapakować komżę, stułę, biret swój i wiszący nad moim łóżkiem krzyż ka-

pelański jeszcze z r. 1920. Niewielka czeladź domowa wiedziała, że jako kapelan wojskowy w rezerwie w razie wojny, po ogłoszeniu mobilizacji muszę natychmiast wyjeżdżać. Po chwilowym namyśle postanowiłem stawić się bez zwłoki do nowych obowiązków i zaraz jechać do Ordynariusza ks. Biskupa, by mu zgłosić odejście do służby duszpasterskiej w wojsku, uzyskać Jego pasterskie błogosławieństwo na drogę i prosić o wyznaczenie zastępcy na moje miejsce. O ile zaś byłoby możliwe to chciałem powrócić jeszcze na plebanię, by ostatecznie zlikwidować nietylko parafialne, ale i osobiste sprawy, i jak najprędzej udać się tam, gdzie mi wskazywała moja wojskowa karta przydziału.

Wydaję, mającym jeszcze zostać w parafii organiście i kościelnemu ostatnie polecenia.

— Zakopać musimy — mówię — jeszcze przed moim wyjazdem cenniejsze rzeczy z naszego kościółka, jak monstrancję, kielichy, mszał, i ze dwa ornaty. Pięćdziesiąt bowiem niecałych kilometrów, które nas dzielą od granicy niemieckiej, nieprzyjaciel może przebyć w bardzo krótkim czasie i prędzej niż się spodziewamy wioska nasza znaleźć się może na linii ognia. Jutro więc z rana po Mszy św. przygotować proszę skrzynkę i rzeczy kościelne. Po śniadaniu zaś odwieziecie mnie do Ruśca, na dworzec kolejowy. W razie gdybym wrócił jeszcze od ks. Biskupa powiem co trzeba będzie dalej zrobić.

Poczciwemu kościelnemu Józefowi Kryczce zakręciły się w oczach łzy. Otarł sobie chusteczką nos i oczy, a z blaszanego pudełeczka okrąg-

łego wydobył szczyptę machorki, by skręcić papierosa do cygarniczki.

— Kurce piecone! — po chwili rzekł — żeby i mnie tak puścili razem z proboscem na „szkopa". posedłbym chętnie, nie zolby mi było i baby i sześciorga dzieci, bo znom dobrze tego psubrata Niemca, młodem swoje lata styroł przecieć u niego, jak my jeżdżali na Sasy. Oj wróg to nas wielki! Tylko cy my go zmozemy Proboscu, mnie sie widzi, że bez Anglii i Francyji ciężko nom bedzie mu dać rade, chyba ze sie wszyscy razem do kupy jakoś wezmą.

Do późnej godziny wieczorem tego dnia siedziałem i robiłem „porządek" w swoim biurku. Odłożyłem na bok kilka dokumentów i trochę książek, które miałem zabrać ze sobą. Na wszelki wypadek, gdybym miał nie wrócić już więcej, rozporządzenia niektóre zostawiłem spisane na kartce.

Nocy tej nie mogłem zaraz zasnąć. Dziwne uczucie niepokoju odczuwałem w swoim sercu i przeczuwałem jakąś zbliżającą się wielką tragedję, którą będę przeżywał i okrucieństwa strasznej wojny, na które będę patrzał. Tajemnicza niepewność najbliższej przyszłości spędzała mi z powiek sen. Nie wiem czy spałem wszystkiego trzy godziny. Sny miałem też jakieś koszmarne... straszne.

Nad ranem, gdy dniało dopiero, budzę się i słyszę coś, jakby zbliżający się ciężki grzmot, potężniejący z sekundy na sekundę i towarzyszący mu głuchy, przeraźliwy ryk oraz wycie niezba-

danych mocy i sił. Szum ogłuszający rozlegał się wokoło o wielekroć silniejszy od tego, jaki się nieraz zdaje słyszeć przed nadchodzącą ciężką burzą brzemienną w błyskawice i pioruny. Głuchy pomruk ponury wraz z okropnym trzaskiem i warkotem wdziera się przez niezamknięte okno, rośnie... potężnieje...

W tym zabrzęczały szyby w oknach mojej sypialni. Zerwałem się i skoczyłem do okna. Patrzę, a ludzie z domów sąsiednich prawie w bieliźnie wybiegają na ulicę i w pole. Wszyscy patrzą w górę, pokazując coś palcem. Na podwórku plebańskim ktoś krzyknął przeraźliwym głosem: „Patrzcie cała chmura wielkich aeroplanów leci nad nami — to napewno niemieckie bombowce". Znaków żadnych nie było widać — leciały bardzo wysoko. Rzeczywiście, nad domem kościołem, wsią i okolicą pobliską, jak groźne wojsko tajemnicze zakute w stal, trójkątami po dziewięć warczących maszyn olbrzymich, szedł nieprzerwany, zdawało się łańcuch. Naliczono ich przeszło siedmdziesiąt sztuk. Jeszcze przed wschodem słońca w porannej mgle, wszystkie leciały w stronę Wielunia.

Po odprawieniu Mszy św. wczesnym rankiem wyjechałem bryczką na stację kolejową do Ruśca. Wola wiązowa była cała na nogach. Rezerwiści już wyszli, młodzież towarzyszyła im hen daleko poza wieś. Kobiety niektóre stojące przed chatami swoimi ocierały sobie łzy, lub kiwały głowami mówiąc „Mój Boże, mój Boże!... i nas proboscyk kochany odjezdzo tez na wojnę". Go-

spodarze uprzejmie zdejmowali czapki i chwalili Boga, niektórzy z prawdziwą serdecznością i życzliwością, kłaniając się na głos mówili: „Szczęść Boże księdzu proboszczowi, jak przyjdzie czas to i my pójdziemy. Próżnować nie będziemy!"

Tego dnia zajechałem do Łodzi i tu dopiero wyczytałem w gazecie na pierwszej stronie grubym drukiem orędzie Prezydenta.

Niemcy przekroczyli nasze granice.

NA WIDAWSKIM RYNKU

Tegoż samego dnia w piątek 1 września w powrotnej drodze z Łodzi z trudem dostałem się taksówką z Łasku do Widawy. Była godzina 10 wieczorem. Tu już na rynku stało kilkadziesiąt fur drabiniastych z rodzinami uciekającymi spod Wielunia, Praszki, Czarnożył, Osjakowa i innych miejscowości z za Warty. Smutny to był widok. Na wozach ogromnych wyładowanych rzeczami pościelą, worami mąki i zboża siedziały przeważnie kobiety, — starsze i młodsze. Były i matki z niemowlętami na rękach. Niektóre trzymały przed sobą obrazy święte. Jedna z kobiet miała w ręku w złocistych ramach, duży oparty na kolanach obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Z tą jedną pamiątką po matce nieboszczce, jak mówiła sama „za żadne skarby nie mogła się roztać". Wyratowała go już z płonącego domu. Wszyscy niemal, jak wynikało z opowiadań, uciekli w ostatniej chwili spod gradu kul, — spod walących się chat...

Do wozów przywiązane stały niespokojne i wystraszone krowy, oraz owce i kozy. Pod niektóremi wozami na ziemi leżały poczciwe i wierne psiska.

Głośne, grozą przejmujące, opowiadania uciekinierów, głęboko pobożne ich westchnienia mięsza-

ły się z płaczem drobnych dzieci, warkotem samochodów szybko mknących przez miasto i ponurym rykiem zgłodniałych bydląt.

Wszystko to stwarzało niesamowity i dreszczem przejmujący, smutny obraz.

Życzliwi i poczciwi mieszkańcy Widawscy pomino spóźnionnej pory, sami niepewni jutra, obdzielali biednych uchodźców jak i czym tylko mogli. Jeszcze przed północą ponura ta karawana miała wyruszyć dalej w ciemną — jak ta noc jesienna — i nieznaną dal.

Czy tylko uratują nieszczęśliwi tułacze życie i resztki swego mienia w rozpoczynającej się zaledwie pożodze wojennej?

Na ciemno niebieskim błękicie nieba od południowo-zachodniej strony, hen, gdzieś nad granicą pruską — ukazała się pierwsza krwawa plama... Za chwilę zamieniła się już w dużą i groźną łunę... w poszumie jesiennego wiatru echo przyniosło pierwsze przytłumione odgłosy strzałów armatnich.

Pomimo spóźnionej pory nocnej na rynek Widawski zajeżdżało szosą od Wielunia coraz więcej fur i samochodów.

Szła i nieprzerwana procesja ludzi z tobołkami na plecach. Niektórzy ciągnęli wózki ręczne naładowane resztkami uratowanego mienia.

W pewnej chwili zajechało i na rynku stanęło piękne auto, wyładowane jak tylko można sobie wyobrazić, najszczelniej. Wraz z innymi, żądnymi jakichś wieści ciekawych, zbliżam się i ja do samochodu.

— Cóż ksiądz proboszcz porabia tu w Widawie

w nocy? — odzywa się jakiś nerwowy głos niewieści, i nie dając mi czasu na odpowiedź, znajoma mi dobrze pani szambelanowa... (wdowa) właścicielka pięknego i wzorowo prowadzonego majątku opowiada dalej:

—Straszne rzeczy w naszych RYCHŁOCICACH! — pałac i wszystkie zabudowania to jedna forteca Moc wojska. Wciąż przybywa nowe. Przy moście na Warcie dwa działa przeciwlotnicze. Jutro od rana spodziewany jest nalot bombowców nieprzyjacielskich. Radzili mi nasi wojskowi, abym jeszcze dziś w nocy wyjechała, jeżeli chcę wyjść cało z duszą i ciałem. Żadnej gwarancji bezpieczeństwa dać nie mogą. Postanowili za wszelką cenę bronić nowego mostu. Cóż więc miałam robić? Syna wysłałam już wcześniej, a sama wyjeżdżam pod Łask do Szwejcerów zostawiając na pastwę losu wszystko t. j. pałac, kościółek nasz dworski, zabudowania gospodarstwo i bezcenne zbiory rodzinne. Czy ksiądz proboszcz wraca do Woli Wiązowej jeszcze?

— Wracam, odrzekłem, by jutro rano odprawić jeszcze Mszę świętą za parafian swoich, dać ostatnie polecenia i wymaszerować jak wielu innych na wojnę. Mam polecenie stawić się jako kapelan wojskowy w Brześciu nad Bugiem.

— Szczęść Boże, księże kapelanie odpowiedziała pani szambelanowa. Obyśmy mogli się jeszcze kiedyś w życiu zobaczyć.

Przed odejściem, przy pożegnaniu dorzuciłem kilka słów dla otuchy i wiary w dobrą przyszłość. Szofer tymczasem do chłodnicy dolał świeżej wo-

dy, puścił motor w ruch i auto znikło w ciemnościach nocy. Po chwili od strony Łasku na szosie rozległ się ciężki turkot wozów i rytmiczne uderzania kutych kopyt końskich o bruk kamienny. Nadciągało wojsko. Za ciężkimi armatami do których zaprzągnięte było po 8 koni, jechali z lancami w ręku, ułani — szwoleżerowie, za nimi auta i liczne wozy taborów. Nie zatrzymywali się — wszyscy skręcili na drogę, która prowadziła przez Wartę i Rychłocice do granicy niemieckiej.

Z tłoczącymi się do głowy, jak widma myślami, zasnąłem tej nocy na jakimś skromnym łóżku u znajomego, właściciela sklepu mieszkającego obok kościoła na rynku Widawskim. —

PRZED ODEJŚCIEM

Była sobota, drugi dzień najazdu germańskiego. Z rannym brzaskiem wracam z Widawy do Woli Wiązowej. Jadę rowerem pożyczonym od wikarego. Drogą piaszczystą przez długą wieś Zborów prowadzę rower obok siebie. Gdzie niegdzie przy chałupach stoją chłopi i radzą:

— Co to będzie z tego proboszczu — zagadnął mnie jeden gdy przechodziłem koło nich.

— Ano wojna z niemcami i nic więcej — odpowiedziałem — wczoraj już ogłoszona.

— Oj bida nam się szykuje księże dobrodzieju — bida wielko!

Nie bójcie się nic, nie walczymy przecież sami zmożemy Niemca, nie my po jego, tylko on po nasze wyciąga łapy.

— Dej Boże, dej Boże — zdaleka słyszałem już słowa.

Po drodze kilkakrotnie do uszu moich dolatywał daleki i głuchy trzask i warkot jakichś samolotów.

Na trzecim czy czwartym kilometrze od Woli Wiązowej i mojej plebanii stoi kobieta wiejska przed domem tuż obok szosy.

— Proboscu drogi, adyć tam na plebanii we Woli, jakby kiejś na odpuście — tylachna furma-

nek i gości, a księży i zakonników ze dwadzieścia chyba będzie!

— Skądże tyle gości u mnie?

— A i spod Wielunia i Osjakowa i Bóg wi skąd, a wszyscy cekają na przyjazd jegomości..

Zrozumiałem dobrze co to znaczy. Pierwsi uciekinierzy z za Warty, z nad granicy Pruskiej u mnie na plebanii...

Za kilka minut wjeżdżam na rowerze do wsi. Głucho i pusto już w całej wiosce. Gdzie niegdzie ktoś pokazał się koło domu, albo przebiegł przez ulicę i znikał szybko. Z wielu domów i gospodarstw wyzierała przeraźliwa pustka i śmiertelna cisza... Uciekli jeszcze cali i żywi przed zbliżającą się okrutną i krwawą burzą.

Chcę myślą jakby wyprzedzić siebie. Co się tam też dzieje na plebanii... Skręcam w ulicę kościelną, tak samo prawie pusta, — Przejeżdżam obok kościoła i już jestem na swoim podwórku.

Rozglądam się, stajnia, obory puste... co jest? Nawet Bobika, przywiązanego i wiernego psa, który często na wieś daleko wybiegał na moje spotkanie, nie widzę i nie słyszę koło plebanii. Kilka kur zaledwie pod stodołą bezmyślnie grzebie w ziemi.

Zjawiła się tylko gdzieś z zapłotu Mruczka poczciwe kocisko i żałośnie miaucząc, tkliwie łasiła mi się koło nóg. Na łące za stodołą rozlega się przeraźliwe krakanie wrony. W kuchni i pokojach plebanii żywej duszy. Wszędzie nieład, Ubranie, różne rzeczy i sprzęty domowe porozrzucane. W sypialni mojej, ciemno. Odemknąłem okiennicę i obok łóżka niezasłanego, zobaczyłem na podłodze

pełno słomy, barłogu. Biurko jednak, biblioteka, szafy i obrazy na ścianach były na swoim miejscu.

W stołowym pokoju na stole widzę w nieładzie roztawionych kilka talerzy i garnków z resztkami jedzenia. Z każdego pokoju, zakątka i najdrobniejszej nawet rzeczy bezładnie porzuconej wyzierała pustka przejmująca, tchnęło powiewem cmentarnym — śmiercią bezlitosną, która jakby miała tu wkrótce rozpostrzeć wszechwładnie skrzydła swej nadziemskiej mocy i potęgi. Po raz pierwszy w swoim domu, gdzie zawsze przez ostatni szereg lat tak dobrze się czułem, przebiegł mnie zimny dreszcz i dziwny lęk. Osamotniony i złamany na duchu, przygnieciony myślami smutnymi wyszedłem na taras do ogrodu. Wysoko w powietrzu nad pobliską rzeką Wartą leciało kilka samolotów. Ponad zieloną tylko tu i ówdzie pożółkłą gęstwiną wysokich wiązów i odwiecznych lip, ku niebu wznosiła się i rysowała wyraźnie na tle jasnego błękitu piękna wieżyczka kościelna zakończona krzyżem, błyszczącym w promieniach słońca.

Pomyślałem, że może jeszcze zastanę służbę kościelną. Niestety w domu parafialnym, gdzie mieszkał organista i kościelny, ani żywej duszy.

Zbliżało się południe... Wszedłem na cmentarz kościelny do starej omszałej i wiekiem pochylonej dzwonnicy. Schwyciłem za długi sznur. Na Anioł Pański, swoim jękiem spiżowym, odezwał się rzewnie rozkołysany dzwon... Zdawało się, że co raz silniej wołał, błagał i jakby skargę wielką nieść chciał z ziemi do nieba. I popłynął

w powietrzu odgłos tego świętego wołania hen daleko... na pola, łąki i chaty wieśniacze...

Wyszedłem przed kościół. Widzę jak szosą od Wielunia w stronę kościoła posuwa się zwolna gromadka niewiast.

Ubrane są w brązowe habity zakonne, przepasane pasem franciszkańskim z zawieszonym wielkim, grubym różańcem. Głowy mają okryte zarzutkami ciemnego koloru i białą wypustką. Tobołki niosły na plecach i w rękach, zmęczenie było widać na twarzach.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki... odpowiadam. Skądże przybywają siostry czcigodne?

— Usłyszałyśmy dzwon na Anioł Pański — idziemy do kościoła pokrzepić modlitwą dusze nasze. Jesteśmy z klasztoru Bernardynek, a uciekłyśmy wczoraj z Wielunia, z walących się już murów naszego klasztoru.

Słyszał przewielebny ksiądz proboszcz, niewątpliwie, o strasznym nalocie wczorajszym bombowców niemieckich na Wieluń. Miasto całe w gruzach. Setki zabitych, tysiące rannych, kościoły i klasztory wszystkie rozbite lub spalone. Okropne rzeczy widziałyśmy wczoraj. Dwie szarytki, siostry miłosierdzia leżały zabite przy wejściu do szpitala, który też w gruzach. Nikt się z niego nie wyratował. Miasto jeszcze dziś, mówią uciekinierzy, całe jest w ogniu.

— Niektóre z nas mają swoje rodziny w okolicach Piotrkowa, pragniemy tam znaleźć chwilowe schronienie. Za jakiś czas wrócimy z powrotem.

Moje Probostwo.

Jedna z nich była już w podeszłym wieku, miała przeszło 60 lat, z tych czterdzieści przeżyła w klasztorze.

— Proszę uprzejmie rozgościć się i odpocząć u mnie. Jutro i ja wywędrować muszę, pójdziemy razem — dodałem dla otuchy ich strapionych serc.

Zakonnice się trochę rozruszały. Niektóre wzięły się do sporządzenia skromnego posiłku z zapasów, które zostały jeszcze w śpiżarni, inne uprzątały słomę z mieszkania i doprowadzały dom do porządku. Plebania ożyła na nowo.

Podczas obiadu już coraz głośniej dochodziły echa wystrzałów armatnich. Nad wieczorem eskadry samolotów niemieckich leciały w stronę Rychłocic — skąd za jakiś czas dały się słyszeć ciężkie detonacje wybuchających bomb. Od czasu do czasu odzywały się nasze działa przeciwlotnicze. Raz po raz nie tylko szyby w oknach mocno dzwoniły, ale nawet i mury plebanii przy silniejszych odgłosach wystrzałów zdawały się chwiać i trzestrzeć w posadach.

Wieczorem, kiedy spokojna noc wrześniowa zeszła na ziemię i otuliła ją zupełnie, klęczałem u stopni wielkiego ołtarza w moim zacisznym kościółku. Przed tabernakulum płonęła skromna lampka wieczna. Tuż za mną gromadka sióstr zakonnych zatopiona w modlitwie po dopiero co odbytej świętej spowiedzi. W cudownym starym obrazie, w ołtarzu umieszczonym, ze słocistym nimbem nad głową z laską dużą i w szacie przy długiej, jak pielgrzym boży, widniał, odwieczny

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w TORUNIU

patron miejscowego kościoła, Roch święty, z rękoma jak do modlitwy na piersiach złożonymi, z głową i oczami do nieba zwróconymi... Zdawał się modlić i wstawiać do Boga za tymi, którzy u Jego stóp o wstawiennictwo proszą.

Z duszy i serca płynęły gorące słowa modlitwy serdecznej... Od nagłej, a niespodziewanej śmierci — zachowaj nas Panie...

W OSTATNIĄ NIEDZIELĘ

Niedziela 3 września.

Było jescze dobrze ciemno, kiedy zbudzono mnię, bo czas wychodzić ze mszą. Kazałem wczoraj zawiadomić ludzi, którzy zostali jeszcze w parafii, że zamiast sumy w porze przedpołudniowej zwykle odprawianej, będę miał mszę św. bardzo rano, jeszcze przed wschodem słońca. Przyszło kilkadziesiąt osób ze wszystkich wiosek. Były też obecne zakonnice z Wielunia. Mszę św. miałem czytaną. Organy milczały. Na ołtarzu wielkim płonęło dużo światła. Ciszę głęboką, w mrokach nocy jeszcze spowitego kościoła, przerywał od czasu do czasu pobożny szept modlitw i głębokie westchnienia wiernych. Czasem rozlegał się głośniejszy trzask dopalającej się oliwy w lampce zawieszonej przed ołtarzem.

Kiedy brzask poranny zaglądać zaczął przez okna kościoła, Msza była skończona. Lampka zgasła przed tabernakulum. Już nie było obecnego w Hostii św. Boga żywego — przyjęły Go z wiarą i miłością serca wiernych.

Nastrój tego dnia wcale nie był świąteczny, niedzielny. Po spożytym skromnym śniadaniu, postanowiłem wszystko z mieszkania usunąć i poskładać do dwóch piwnic i małego pokoiku. Może

przecież coś ocaleje. W ciągu niespełna dwóch godzin plebania została prawie pusta.

Około 10-tej godziny z rana przed plebanię zajeżdża ładna żółtego koloru bryczka zaprzągnięta w jednego konia, którym powozi młody, z wyglądu inteligentny, może 15-letni chłopiec. Patrzę — za tym młodociannym woźnicą w bryczce proboszcz z Czarnożył, z za Wielunia ksiądz A. Zorż.

— Laudetur Jesus Christus.

— In saecula saeculorum. Witam czcigodnego księdza Jubilata. Miał około 70 lat, choć był jeszcze postawny, wysokiego wzrostu, z długą, ładną, szpakowatą czupryną w tył zaczesaną, o twarzy wprawdzie zmarszczkami pokrytej, ale czerstwej i czerwonej.

— Dokąd-że to ksiądz proboszcz ma zamiar?— pytam się.

— A gdzieżby jak nie na Wschód, sąsiedzie kochany, i zawsze przed siebie przy pomocy Bożej — z humorem sobie wrodzonym — odrzekł.

— Nie przejeżdżali przypadkiem tu koło was ludzie z mojej parafii i moi z plebanii ode mnie? Wyobraźcie sobie straszne rzeczy! Następnego dnia po zbombardowaniu Wielunia zajeżdża pod mój kościół nasza artyleria ciężka i moc kawalerii. — Działa ustawiają koło muru cmentarnego. Ze wsi wszystkich ewakuowano. Naloty bombowców nieprzyjacielskich co parę godzin. Rannych moc. Mnie się kazali wynieść. Okropne chwile przeżyłem. — Parę godzin zaledwie zostało mi do zlikwidowania wszystkiego. Spod gradu kul wy-

szedłem, dzięki Bogu cały. Wcześniej już wysłałem swoją furmankę z niektórymi rzeczami. Kazałem jechać przez Konopnicę i Wolę Wiązową. Mieliśmy się tu spotkać.

— Owszem — odpowiedziałem — wieczorem wczoraj stało kilka fur koło kościoła. Rozmawiałem sam z siostrą księdza proboszcza. Siedziała w dużym drabiniastym wozie z jakąś dziedziczką i dwiema małymi dziewczynkami. Po chwilowym wypoczynku zdecydowała się, razem z innymi furmankami, na noc jeszcze jechać przez Rusiec, Szczerców, w stronę Bełchatowa i Piotrkowa. Gdzie może być dziś, nie wiem. Zresztą, nie przejedzie ksiądz proboszcz tą szosą, gdyż most podobno pod Ruścem jest wysadzony, a miasteczko samo od dziś rana już się pali. Podpalili Niemcy bombami z aeroplanów. Widać przecież jeszcze teraz od nas z przed plebanii wielkie kłęby dymu nad Ruścem. — Jedna została droga szosą przez Widawę. Nic, księże proboszczu, proszę odpocząć — pojedziemy razem.

— Słyszałem — mówi nieco zciszonym głosem i prawie poprzez łzy — że miało się też zatrzymać u was we Woli Wiązowej wielu moich sąsiadów, dziekan z Wielunia, ksiądz Próchnicki z Mokrska, ksiądz Hadaś z Osjakowa i kilku zakonników wieluńskich.

— Owszem byli tu przez dzień. Mnie jednak nie zastali. Byłem w Łodzi. Przenocowali i z rana odjechali — ale nie wiem dokąd.

— Okropne i straszne czasy, sąsiedzie kochany. Czy naprawdę jesteśmy zwarci, silni, gotowi! Do

gorszego nieszczęścia żeby choć nie doszło w Polsce Boże! Boże!

Złożył ręce jak do modlitwy i patrzył w okno.

Do mieszkania wszedł młody chłopczyna z batem w ręku, ten sam, który przywiózł księdza proboszcza. Twarz miał bardzo miłą o rysach subtelnych, inteligentnych. Też prawie poprzez łzy rzewnym, wzruszonym głosem pyta się, czy ma konia wyprzęgać i o której godzinie być gotowym do dalszej podróży.

— Za dwie, trzy godziny pojedziemy dalej — odzywa się staruszek proboszcz. — Tylko nie trać mi na minie i tak jak do dziś trzymaj się po żołniersku, Tadziu!

— Dobrze, postaram się — i znikł za drzwiami.

— Biedny chłopczyna — dodaje za chwilę proboszcz. — Czy zobaczy jeszcze kiedy swoją matkę? Wyobraźcie sobie księże, matka tego chłopca, dziedziczka i sąsiadka moja, wsiadła wczoraj na moją furmankę z dwiema małymi córkami. Dziedzic do ostatniej jeszcze chwili postanowił zostać w domu. Wziąłem od dziedzica tę bryczkę i konia. Ojciec oddał mi chłopca pod opiekę. I jak się to wszystko teraz skończy?. Gdzie tu jechać, albo gdzie szukać jego matki z siostrami?

Szyby mocno w tej chwili zabrzęczały. Dolatywały odgłosy ciężkich wybuchów. Wysoko nad plebanią i kościołem warczało kilka samolotów. Ukazały się na moment i zginęły gdzieś w chmurach. Szły z biegiem Warty w stronę Widawy.

Siostry zakonnice tym czasem jedne w kuchni zajęły się przygotowaniem skromnego obiadu, drugie pakowały swoje niebogate tobołeczki, które zabrały ze sobą w podróż. Umówiliśmy się, że razem wyjedziemy w godzinach popołudniowych, lub gdyby siostry wcześniej wyszły spotkamy się w Widawie na plebanii u dziekana.

Mały jednak przypadek, wcale niespodziewany, zrządził, że wyjazd swój zmuszony byłem opóźnić o parę godzin. Pewnej bowiem chwili daje mi ktoś znać, że na stopniach wejściowych, przed plebanią od frontu, siedzi — pani Prądzyńska. Biegnę natychmiast i rzeczywiście... Na kijku oparta, z opuszczoną w dół głową, skulona, okryta czarną pelerynką siedzi starowinka. Na drobnej, bladej mocno zmarszczkami pooranej twarzy widnieją tylko duże ciemne okulary. Spod czarnej chustki na głowie widać dwa kosmyki siwych włosów, okalających wysokie, mądre czoło. Była to przeszło 90-letnia staruszka, ostatnia dziedziczka Woli Wiązowej i okolicznych wiosek. Gdy po śmierci męża, wskutek działów majątku, a następnie zmienionych warunków finansowych, majątek musiał ulec parcelacji, pani ta, która większość życia swego w wiosce swej spędziła, nie chciała żadną miarą mimo prośby dzieci i rodziny, rozstać się z ukochaną przez nią wioską. Postanowiła tu na ziemi swoich praojców żywota dokonać. Przygotowała sobie już wcześniej na cmentarzu miejsce obok grobu śp. męża, bratanka po generale, zapisanym zaszczytnie w historii powstania 1831. „Nie mogę go przecież po śmierci

sierotą zostawić" — mówiła mi nieraz. Rodzina najbliższa, a przede wszystkim syn najstarszy musiał więc pogodzić się z jej wolą, i umieszczając matkę swą staruszkę w małym wiejskim domku, u gospodarza Milczarka, pod moją, jako proboszcza miejscowego opieką, zapewnił jej utrzymanie zupełnie dostateczne. Nawiasem dodać muszę, że czcigodna ta matrona, jak również i dzieci jej nieprzeciętne zasługi mają w historii odrodzonej Ojczyzny. Dość powiedzieć, że w majątku ich w roku 1904 przez 6 tygodni przechowywani byli dwaj więźniowie wykradzeni z X. pawilonu. Pani ta, była jedną z pierwszych tych niewiast w Polsce, które po ukończeniu wyższych studjów żywo zajmowały się zagadnieniami społecznymi i literackimi.

— Cóż pani dziedziczka tu robi dziś?, skąd się pani tu wzięła? — pytam się.

— A to czcigodny ksiądz proboszcz!... odrzekła, podnosząc głowę i patrząc na mnie ze zdziwieniem, przez ciemne okulary. Myślałam, że już księdza proboszcza nie zastanę. Podobno wojna ma być z Niemcami i tak ci nasi chłopi poprzelękali się, że nawet i mój gospodarz Milczarek, kiedy sam już wszystko miał na furze, mnie przyprowadził tu, i kazał mi na księdza proboszcza czekać, bo sam na gwałt wyjeżdża. Niech się ksiądz proboszcz moją osobą nie kłopocze, mnie się nie wiele należy już, dla mnie i Prusacy niestraszni. Ale oni tu nie przyjdą — prawda? przecież nasze wojska polskie zawsze ich zwyciężały. A dziś jeszcze i Anglia i Francja — jak słyszałam idą

nam z pomocą. O przyszłość naszej Ojczyzny spokojna jestem. Polska nasza silna jest. A co tak turkocze koło nas? Czy to ktoś jedzie? chyba fura po kamienistej drodze.

— Nie, pani dziedziczko, to trzy aeroplany jakieś przelatują nad nami w górze.

— Tak, to napewno nasze polskie.

Poprosiłem starowinkę na plebanię. Zakonnice przygotowały skromny posiłek. Nie mogę w żaden sposób staruszki zostawić — pomyślałem sobie. — Muszę coś zaradzić. Koni własnych już nie miałem, w wozowni pozostała tylko bryczka wygodna i niewielka.

— Zwróciłem się z prośbą do proboszcza z Czarnożył, czy pozwoliłby przywiązać do swojej z tyłu moją bryczkę, na której chciałbym, żeby mogła jechać pani dziedziczka. Do swojej dyspozycji miałem jedynie rower. Oczywiście propozycja moja została szybko zaaprobowana z dodaną tylko małą uwagą. żeby na jednego konia choć wprawdzie dobrze odżywionego, nie było przypadkiem za ciężko.

— Smutnym śmiesznym i dziwnym zarazem dla niejednego wydać się mógł widok tego „paradnego“ wyjazdu z plebańskiego podwórka jednego z najstarszych i znanych w całej okolicy kapłanów wraz z moją 90-letnią starowinką-dziedziczką i siedzącym w charakterze woźnicy na koźle młodym chłopcem, synem obywatela ziemskiego. Okazało się później, że wskutek nie „fachowego“ i nie dość silnego związania obydwóch bryczek, ostat-

nia z siedzącą na niej panią Pr... nie mogła iść równo za pierwszą, ale przetaczała się to na lewą to na prawą stronę co oczywiście koniowi biednemu przysparzało nie mało ciężaru. Na pierwszej zaś bryczce wyładowanej workami z żywnością dla konia i walizami nie było absolutnie kawałka wolnego miejsca.

Około godziny drugiej czy trzeciej popołudniu wskazałem drogę młodemu woźnicy do Widawy przez Ochle — Zborów i pożegnałem księdza seniora na krótką chwilę. Mieliśmy się spotkać za godzinę czy dwie we wiosce, która leży w połowie drogi, albo też na plebanii w Widawie. Niestety los zrządził, że od tej pory jużeśmy się więcej nie widzieli i Bóg wie czy się jeszcze zobaczymy?...

Zakonnice też wyszły wkrótce w stronę Widawy, chcąc wolnym krokiem przestrzeń 15-tu kilometrów przejść za dnia. Też się już więcej nie spotkaliśmy. Na plebanii zostałem sam jeden. Okiennice wszystkie i drzwi szczelnie pozamykałem.

Wstąpiłem jeszcze do kościoła. Klęknąłem na chwilę u stóp obrazu św. Rocha. Samorzutnie wyrywały się słowa modlitwy gdzieś z głębi duszy i serca. —

Patronie nasz święty. Od początku istnienia tej parafii, pobożny lud tutejszy cześć Ci należną oddaje w tym świętym cudownym obrazie. Tyleś razy wstawiał się za nim do Boga. Zawsześ go chronił od zarazy, głodu, ognia. Pod Twoją opiekę oddaję i teraz w dniach grozy i wojny okrutnej siebie samego, kościółek nasz drogi, parafię całą i ten

dobry pobożny, polski lud wieśniaczy. Chroń go, osłaniaj i ratuj...?

Wstałem pokrzepiony na duchu, zaryglowałem drzwi do zakrystii. Pozamykałem wszystkie wejścia do kościoła i klucz wręczyłem pobożnej kobiecie, która postanowiła nigdzie nie wyjeżdżać ze wsi. Przyrzekła mi opiekować się kościołem i plebanią.

Byłem już całkowicie gotów. Teraz tylko jak najrychlej dostać się do miejsca swego przeznaczenia, przywdziać mundur kapelański i spełnić swój święty i szczytny obowiązek wobec Ojczyzny.

Biorę rower i idę wolno drogą przez wieś. Jeszcze większa pustka i cisza niż wczoraj. Od czasu do szasu tylko od strony szosy wieluńskiej z za Warty, szybkim krokiem idą pojedynczo, albo małymi grupkami do rozbitków już podobni żołnierze, zabrudzeni, spoceni, niewyspani. Niektórzy na rowerach wojskowych jadą drogą też w stronę Widawy.

— Jeszcze ksiądz proboszcz tu w wiosce? — zagaduje mnie jeden.

— Jakaż jest sytuacja ogólna? — pytam się kaprala w ciężkim stalowym hełmie na głowie, obok mnie idącego.

— Źle jest księże dobrodzieju. Niemcy już rano dziś sforsowali rzekę. Most zdążyliśmy jeszcze wysadzić. Przednie patrole są od nas zaledwie o parę kilometrów, najdalej za godzinę będą tu napewno. Idą jak piorun ciężki — odzywa się drugi kapral. Cała nasza tylna straż to tych kilkadziesiąt w bezładzie rozrzuconych, zgłodniałych żołnierzy

— ale co psiakrew, można było zrobić! Od samego Wielunia, ani jednego okopu, gdzieby człowiek wrazie potrzeby chociaż łeb mógł schować. Szosa od samej granicy niemieckiej gładka jak stół pod samochody i tanki nieprzyjacielkiej i nigdzie nie podminowana. Rzeka Warta też nie umocniona i nie okopana. I co kto zrobi szwabowi?

W odpowiedzi rzuciłem parę słów dla podtrzymania ich na duchu i podkreśliłem, że nie trzeba tracić nadziei, bo jest to zaledwie początek wojny.

Na zakręcie szosy przystanęliśmy na chwilę. Poczęstowałem ich papierosem i każdemu z nich mocno uścisnąłem żołnierską dłoń.

Wsiadłem na rower i odjechałem w kierunku na Widawę. —

W DRODZE

Jechałem dosyć szybko na rowerze, by jeszcze gdzieś w połowie drogi do Widawy spotkać się z ks. proboszczem z Czarnożył. Chodziło mi bowiem nadewszystko o staruszkę dziedziczkę, która prawie już niedołężna, bez opieki przecież pozostać nie mogła.

Na drugim, czy trzecim kilometrze od domu dopędzam długi szereg wozów chłopskich, wyładowanych różnymi rzeczami, sprzętami i ludźmi. Z bocznych polnych dróg dojeżdżają do szosy coraz to nowe drabiniaste fury też aż pod wierzch naładowane.

Przy niektórych wozach, z tyłu przywiązane, zwolna posuwały się naprzód łaciate krówska, które porykując żałośnie, niechętnie szły z łbem spuszczonym do ziemi, jakby w przeczuciu czegoś złego. Na workach i pierzynach związanych w płachty siedziały przeważnie starsze kobiety z dziećmi. Przy furach szli i poganiali batem swoje hetki gospodarze, spoglądając od czasu do czasu bojaźliwie za siebie.

Nad Ruścem, odległym zaledwie o kilka kilometrów, wisiała ciemna, duża chmura.

— Oby jak najprędzej dostać się do Widawy — ktoś z jadących zauważył.

W tem głuche i ciężkie odgłosy, jakby strzałów armatnich, czy bomb wybuchających rozległy się w powietrzu. Niektóre kobieciny bojaźliwsze żegnać się zaczęły.

— Gdzie to też mogą strzelać te armaty? — odzywa się na ostatnim wozie do chłopa idącego przy koniu, kobieta z dzieckiem na ręku.

— Aktóż to może wiedzieć — odpowiada. — Chyba gdzieś koło Ruśca, bo patrz jaki straszny i coraz większy ogień.

— A mnie się widzi, że to jakby na Widawę te huki pokazują. Możeby było lepiej gdzie na boczną drogę skręcić.

— Idz ty głupia babo, a uciągnie cie to w piochu bidne szkapsko. Zresztą jak wszyszy skręcą to i jo skręcę, a tymczasem jade prosto.

Jeszcze kilka głośnych wybuchów, ale już bliższych silniejszych dało się słyszeć.

W tym momencie właśnie od strony Widawy, jasny najpierw obłok ukazał się na niebie, który za kilka chwil zamienił się w dużą, coraz bardziej ciemniejącą chmurę.

— Pali się Widawa! patrzcie! — przeleciał okrzyk grozy po wszystkich wozach.

— Gdzie tu teraz uciekać — lamentowały kobiety.

Pogłupieli nawet i sami chłopi, jedni krzyczeli, że choć się pali na przedzie, trzeba jechać prosto, inni byli zdania, że lepiej skręcać w boczne drogi...

Długi, może na kilka kilometrów, jeszcze przed chwilą zwolna poruszający się, do olbrzymiego wę-

ża podobny, szereg wozów przystanął. Jedni zaczęli wyjeżdżać z kolei na bok, inni skręcać na lewo i prawo. Zrobił się zator. Krzyk, pisk, nawoływania, płacz, klątwa mieszały się i zamieniały w coraz większą wrzawę i rozpacz.

Dobiegam do furmanki, co w poprzek szosy stanęła.

— Czemuż zatarasowaliście drogę? Jechać albo w jedną, albo w drugą stronę!

Patrzę a tu mój parafianin z Krzywanic, Łuka Banasiak... Zdjął czapkę, Boga pochwalił, i pełnym rozpaczy głosem odzywa się:

— Ojcze duchowny, ty jeden powiedz nom prawde, gdzie mamy jechać? Na Ruścu się pali i na Widawie już strzelają. Sam zgłupiałem do cna.

— Cicho babo! cego wyjes — dorzucił w stronę swojej lamentującej żony, która z płaczem namawiała, żeby skręcał w pole na lewo.

— Tam pojadę, gdzie mi nas przewodnik probosc wskoże.

— Łukaszu! usłuchajcie wy mnie — ze spokojem odzywam się do wystraszonego i bladego Banasiaka.

— Jak na świętej spowiedzi — odrzekł, usłuchnę.

— Wykręcać nazad i jechać do domu. Nie bójcie się nic, wy starzy gospodarze, kobiety siedzieć w domu powinniście i pilnować swego dobytku, a nie uciekać niewiadomo gdzie i narażać się na choroby, głód i śmierć. Wracajcie więc z powrotem, a po drodze namawiajcie innych, żeby za wami jechali. Tylko młodzi, zdatni do wojska, powinni się usuwać, bo taki był nawet rozkaz naszych władz.

Chłop się uspokoił, baba przycichła i podziękowawszy mi za radę, konia nawrócił i pojechał w stronę Krzywanic.

Za nim, widziałem, zrobiło to samo i wielu innych gospodarzy.

Tymczasem fury, które zostały jeszcze na szosie zaczęły się ruszać naprzód. Większość z nich skręcała w Ochlach na lewo w kierunku na Restarzew.

Dojeżdżam i ja do wsi. Na skręcie drogi, tuż przy rowie, patrzę stoi moja bryczka. Na bryczce siedzi samotna, skulona, w ciemnych okularach na oczach starowina dziedziczka.

— Cóż to się stało, Pani dziedziczko? a gdzie konie i powóz Księdza proboszcza z Czarnożył.

— Nie wiem co to wszystko ma znaczyć. Kazał mi tylko tu ktoś czekać, aż Ksiądz Proboszcz przyjdzie. Dokąd to ja jadę tak daleko od domu?— Pyta się starowinka, nie zdając sobie sprawy z sytuacji.

Postanowiłem bezwzględnie ulokować gdzieś biedną i bezradną staruszkę u miejscowych ludzi, gdyż dalszą podróż Jej w tych warunkach uważałem za niemożliwą.

Na wiosce niedaleko od szosy, w pięknym murowanym domku mieszkał znajomy mój mierniczy przysięgły Pan X. Ten człowiek napewno mi pomoże — myślę sobie. Wchodzę. Zastałem go mocno przejętego i zdenerwowanego. Siedział przy małym dedektorku ze słuchawkami na uszach. Słuchał audycji z Warszawy.

— Nie bardzo wyraźna sytuacja Księże pro-

Uciekinierzy ze wsi.

boszczu. Dobrze nie jest. Proszę posłuchać. Nadaje Warszawa.

Przytknąłem słuchawki do uszu. Na szumiących falach radiowych usłyszałem poważny, drżący męski głos speakera... „Hallo! Hallo!... uwaga!... uwaga!.. ogłaszamy alarm lotniczy dla Warszawy... nadchodzi".

Odłożyłem słuchakwi i w rozmowie z geometrą dowiedziałem się, że sam myśli też uciekać jako wojskowy z rezerwy. W domu zaś zostaje żona z małem dzieckiem i staruszką matką. Po krótkiej rozmowie sam doradził mi, by dziedziczkę Prądzyńską zostawić tu we wiosce. Obok bowiem jest jeszcze w sąsiednim domu trzecia staruszka wiejska kobiecina, która okazało się, że byłą dziedziczkę na Woli Wiązowej zna jeszcze z lat młodych. Ta chętnie postanowiła zaopiekować się moją parafianką, do jakiegoś czasu. Przyrzekłem, że wszelkie koszta i wydatki ja pokryję.

Panią Pr. wziąłem na herbatę do państwa miernicych, gdzie wytłumaczyłem jej, że nie powinna w tej sytuacji jechać dalej w nieznane, że tu znajdzie dobrą i życzliwą opiekę, aż do czasu gdy warunki się poprawią. Zgodziła się bez protestu. Bryczkę kazałem wciągnąć i postawić pod szopą w podwórku.

Słońce miało się już mocno ku zachodowi, kiedy pożegnawszy moją dziedziczkę i gościnny dom p. geometry, ruszyłem w dalszą drogę. Jak najprędzej pragnę dojechać drogą przez Restarzew do Szczercowa, o przedostaniu się bowiem do Widawy niema mowy. Most na szosie pod samym miastem dziś

został wysadzony. Niektóre furmanki już stamtąd wracają. Przejazdu niema.

Po pewnym czasie za wsią na polskiej drodze dopędza mnie dość liczna grupa młodych ludzi. To poborowi z mojej parafii i młode chłopaki zmykają przed Niemcem.

— Będziemy się trzymać teraz naszego Księdza, to może i prędzej mundury żołnierskie przywdziejemy — odzywa się do swoich towarzyszy na przodzie idących Milczarek Józef z Woli Wiązowej.

— Ale byłoby fajnie — któryś z gromady dodaje, żeby tak z proboszczem w jednym pułku pozostać!

— Idz ty głupi, odpowiada Milczarek, a zdatnyś to do kawalerii? Nie wiesz to, że Ksiądz nasz służył w ułanach!

— Och proboscu, żeby jaknajprędzej broń do ręki dostać — dorzuca obok mnie maszerujący młody, rosły parobczak.

— No chłopcy — odzywam się — jak pójdzie dobrze, to chyba za parę dni będziemy w szeregach. Nie tracić tylko ducha. Ojczyzna woła!

Gajda Wicek z Prądzewa, co należał od paru lat do chóru kościelnego zaintonował:

Wojenko, wojenko...

Gromada cała podchwyciła słowa piosenki i rozpłynęła się na pola i łąki przydrożne z młodych, zdrowych piersi chłopskich smętna pieśń żołnierska...

Nad torem kolejowym, do którego dochodzimy, w górze leci od granicy niemieckiej w kierunku na Widawę kilka samolotów. W zachodzącym słońcu widać od czasu do czasu błyszczące się ich kad-

łuby. Przeleciały nad naszemi głowami i zakręciły wielkie koło nad Widawą. Jeden z nich zniża się i leci nad dworcem kolejowym, a następnie jak strzała spada zdaje się wprost na czerwony budynek stacyjny. Przeraźliwy huk rozlega się w powietrzu, a nad zabudowaniami unosi się wielki kłęb dymu. Następuje drugi, trzeci i czwarty wybuch. Na przestrzeni najdalej trzech kilometrów widać dokładnie jak bombardują dworzec i tor kolejowy.

Od strony Widawy też dochodzą ciężkie detonacje i grzmoty, coraz to nowa chmura dymu wzrasta nad miastem.

Tymczasem słońce wielkie, czerwone podobne do tarczy w krwi skąpanej stanęło już na samej linii horyzontu i zwolna za nią skrywać się zaczęło. Za chwilę znikło zupełnie.

Rozpłomienił się baldachim niebieski na zachodzie i gorzeć począł wielką krwawą łuną ognistą.

Wysoko na niebie rozlały się długie fioletowo-różowe smugi.

Zdala nad czarnym borem, skąpanym już we mgle wieczornej, unosiły się całe gromady wystraszonego i dzikiego ptactwa.

POD SZCZERCOWEM

Mrok wieczorny zapadał. Cała okolica, zdala widniejące lasy, pola, łąki i wsie całe ginęły w ciemnościach zbliżającej się nocy. Z mroku zapadającego wynurzały się tylko zdaleka widniejące jeszcze, mury z wysmukłymi dwiema wieżami kościoła restarskiego (może o 3 klm. odległego).

Odpocznę sobie — myślę — u przyjaciela swego ks. kanonika i proboszcza w Restarzewie, a potem Wieczorem, choćby nawet późną godziną, powędruję dalej. Byleby dobrnąć jak najprędzej do Szczercowa, a stąd już szosą łatwiej i szybciej przedostać się będzie można do Łodzi.

Spragniony i zmęczony okropnie zajeżdżam przed plebanię. Pukam do drzwi jednych i drugich. Cisza... Nikt się nie odzywa. Okiennice wszystkie pozamykane. Na podwórku budynki gospodarcze puste. Drzwi pootwierane na oścież. W kuchni też ciemno. Wołam, krzyczę... Nikt się nie odzywa. Pustka przerażliwa. Czuję jak dreszcz zimny przechodzi po mnie.

Może, choć w domu jakimś blizko kościoła będę mógł na chwilę odpocząć. Ale wszędzie to samo. We wszystkich oknach ciemno, w zagrodach pusto. Musieli już za dnia i oni biedacy wywędrować

gdzieś, by skryć się i przeczekać krwawą i blizką już burzę.

Dołączam się na nowo do tej smutnej, niekończącej się karawany uciekinierów i brnę po mocno piasczystej drodze, która staje się coraz cięższą, mozolniejszą.

Konie co chwila przystają. Biedne szkapska nie mogą uciągnąć ciężkich, naładowanych wozów, a tu jeszcze około 10 klm. do przebycia.

Na niebie ukazały się złociste gwiazdy. Od strony Widawy i stacji kolejowej przyświeca wciąż wielka, czerwona łuna. Od czasu do czasu słychać jeszcze głuche detonacje.

— Mój Boże, to i księżulek na te poniewierke z nami sie wybrał — odzywa się jakaś kobiecina z wozu.

— Oj nacierpią się wszyscy, nacierpią, dziś bez te przeklętą wojnę. A bodaj tego Hitlera już i raz Pan Bóg pokarał.

— A z której to parafii księżulek idzie? — pyta się mnie.

— Z Wolskiej, moja kobiecino kochana — odpowiadam.

— A to proboscyk mioł u nos kozanie w Konopnicy na Przemienienie Pańskie. — Mówił nom i nas księzyk w niedziele, zeby my nikaj sie nie ruszali, ale jakże tu nie uciekać mój Boze, kiej ze wszystkich stron ludzie jadą i jadą. Czy tylko nos to niescęście gdzieś dali nie spotko? Moze nos ta Matuchna Czestochowska ochroni. A zresztą niech się dzieje wola Boska — odrzekła z rezygnacją.

Wjeżdżamy do lasu szczercowskiego. Zrobiło się zupełnie ciemno. Jeszcze parę kilometrów zostało drogi. W tem z gęstwiny leśnej wychodzi trzech żołnierzy naszych w hełmach na głowie. Jeden z nich zaświecił lampką elektryczną.

— Spieszcie się spieszcie ludziska kochani, bo możecie nie zdążyć. Spodziewamy się jeszcze dziś w nocy tu Niemców. Przednie patrole ich podchodzą od strony Widawy aż pod las podobno.

Zrobił się krzyk na furach. Chłopi zaczęli nawoływać i poganiać swoje zmęczone i zgrzane hetki. Cały rząd furmanek przyspieszył nieco.

Nagle w odległości nie więcej niż 500 kroków zatrajkotał karabin maszynowy. Głuchy trzask i huk odbił się echem po lesie.

Tłumaczyłem sobie, że to nasi dali ognia, albo też podają jakiś sygnał umówiony do rozrzuconych po lesie oddziałów wojskowych. Za chwilę gdzieś zdala doleciał nas głos warczących w górze samolotów. Coś błysło kilkakrotnie i zapaliło się. Przez kilka minut niebo nad Szczercowem płonęło jasnofioletowym światłem. To reflektory wojskowe, myślę sobie, a w tem po lesie jak grzmot najcięższy huczy i rozlega się strzał po strzale, jakby kilkanaście armat zaczęło ryczeć raz po raz.

Furmanki stanęły, na furach powstał lament, i przeraźliwy krzyk. Z lasu wyszło kilku żołnierzy polskich z najeżonymi bagnetami. Za chwilę stanął przy drodze oficer i wydaje rozkaz:

— Fury wszystkie skręcać na lewo. Do Szczercowa droga zamknięta, przejazdu niema, most wy-

sadzony. Uważajcie też ludzie na szosie. Niemcy bombardują miasto i pobliskie wszystkie drogi.

Wszyscy skręcili w boczną drogę, by dostać się już za Szczercowem na szosę wiodącą do Łasku.

Biały wielki kisężyc zaczął wschodzić i przedzierać się swoimi srebrnymi promieniami poprzez gęstwinę drzew.

Odgłosy strzałów ciężkich, choć rzadsze, nie ustawały. Gdzieś w górze nad lasem szedł głuchy warkot.

Szczerców się palił.

W DALSZEJ DRODZE

Do Łodzi jechałem na rowerze szosą szczercowską przez Lubiec. Wieś robiła wrażenie zupełnie wymarłej osady. Na samym początku wioski dopalały się jeszcze głownie jakiegoś spalonego gospodarstwa. W dwóch czy trzech zaledwie chatach, w oknach widziałem słabe światła. Spragniony ogromnie, wszedłem do jednej, napić się czegoś. Kilku żołnierzy rosłych, barczystych, w całkowitym prawie uzbrojeniu, w ciężkich hełmach na głowie stało przy kuchni — gotowali sobie coś w menażkach. Jeden z nich podał mi manierkę z siadłem mlekiem.

— Co słychać bracia żołnierze? — pytam się.

— Dobrze jegomościu. Dziś mieliśmy duży nalot bombowców niemieckich. Ludność rozprysła się i uciekła do lasu. W pałacu i zabudowaniach dworskich też tylko nasi. Jutro od rana mamy nadzieję spotkać się z niemiaszkami. Damy im tu bobu! Mamy na nich ładne niespodzianki.

— Szczęść Boże — odrzekłem i uścisnąłem im mocno dłoń. Przed odejściem pokazałem im swoją kartę „mob".

— Brawo księże kapelanie! nie damy się — usłyszałem już w drzwiach.

Za chwilę znów jechałem w pamiętną ową ciemną noc szosą na Łódź.

O północy dojeżdżam do powiatowego miasta Łasku. Na wikariatce nie było nikogo. Szyby w oknach, prawie we wszystkich domach zalepione na krzyż papierami. Dużo szyb widzę wybitych. Na rynku ogromne wyrwy od bomb. W kilku punktach miasta dopalające się domy krwawą łuną oświetlają ciemności nocne. Na rynku stoi policjant.

Panie posterunkowy, czy przejazd wolny jest do Pabianic? — pytam się.

— A to ksiądz proboszcz z Woli Wiązowej. Cześć! Ma ksiądz jakąś legitymację?

— Nawet wojskową.

— To śmiało można jechać, tylko trzymać się należy prawej strony, bo moc aut od Łodzi i transporty idą tą drogą.

— Co tam słychać bliżej Warty?, bo u nas nie wyraźna sytuacja, proboszczu. Niemcy, dziś mieliśmy wiadomość, walą całą potęgą na Sieradz i Piotrków. Słyszy ksiądz proboszcz jaka przez całą noc idzie ciężka kanonada, głównie od strony Sieradza. Cały podobno zbombardowany i spalony. W naszym Łasku z władz powiatowych już niema prawie nikogo, wszyscy wyjechali. Policja, w sekrecie tylko mówię, słyszałem jutro wieje. Dokąd nie wiem. Podobno na kresy mamy jechać. Ale co się to dziwić — nachylając, nówi mi szeptem do ucha — kiedy podobno już rząd nasz i dygnitarze najwyżsi uciekają z Warszawy.

Przerywam wywody znajomego policjanta i pytam się:

Widzę, że musiał być tu nalot dzisiaj u was na miasto.

— Około stu ciężko rannych, a kilkunastu mamy zabitych. Szpital przepełniony, okropne chwile przeżywaliśmy w Łasku. Kilka bombowców latało może nie wyżej jak na 300 metrów nad miastem. Waliliśmy wprawdzie do nich z karabinów ręcznych, ale co to znaczy. Ledwośmy uratowali miasto od ognia.

Podczas naszej rozmowy od strony Pabianic i Łodzi samochód za samochodem wpadał z szumem i trzaskiem na rynek jak błyskawica i znikał na szosie do Sieradza i Piotrkowa idącej. Mignęło się też wiele dużych aut z czerwonymi krzyżami. Wszystkie miały światła przyćmione.

Za chwilę zadudniało coś na kamienistej drodze. Na rynek łaskowski wjeżdżała ciężka artyleria. Długi, nie kończący się łańcuch wozów, konnicy, armat i kilka małych tankietek, zwolna posuwał się szosą w kierunku na Sieradz.

Z Łasku do Pabianic trasę przebyłem z rekordową szybkością.

Musiało już być blisko nad ranem.

Na rynku w Pabianicach jakiś żydek, z opaską LOPP na ramieniu wysuwa się z bramy i mówi mi, że jest on na dyżurze nocnym i że, za przeproszeniem, może udzielić potrzebnych informacji.

— Oj! po co ma pan proboszcz jechać na bicykli i zamęczać się nieptrzebnie. Chodzą co pół godziny

od stacji kolejowej tramwaje do Łodzi. Ja gwarantuję, że pana proboszcza zabiorą.

— Rzeczywiście za jakieś 15-cie minut, trzy razem spięte duże wozy tramwajowe zatrzymały się na przystanku.

— Kto do Łodzi, to proszę wsiadać! — ktoś ze środka krzyknął na głos.

Z trudnością wgramoliłem się razem z rowerem na tylny pomost ostatniego wozu. Leżało tam już na kupie najmniej z 15-cie rowerów wojskowych, a oprócz tego pełno plecaków, hełmów, karabinów i innego sprzętu żołnierskiego.

We wszystkich trzech wozach tramwajowych żołnierzy napchanych jak śledzi. Powietrze o specyficznym zapachu aż dusi. Żołnierzyska kochane jak straszydła, wymizerowane, zarośnięte, brudne, zakurzone. Wielu z nich w najrozmaitszych pozach, aż chrapią tak śpią twardo i smacznie. Inni patrzą w ciemną dal przez szyby okienne i podśpiewują jakąś smętną melodię żołnierską.

Częstuję papierosem stojącego na pomoście małego, ale krępego i barczystego kaprala. W oczach i na twarzy też brudnej i zarośniętej widać ogromne zmęczenie. Podałem rękę i przedstawiłem mu się. Powiedział mi też swoje nazwisko i dodał, że jest łodzianinem z pułku 31-go, rezerwista. Wraca z frontu. Był, jak zresztą cały pułk od początku w ogniu.

— Tyle, co ksiądz proboszcz widzi w tych trzech wozach, pozostało nas. Może tam jeszcze gdzie jakaś grupka naszych się zbierze. Padło z naszego pułku wielu, ale też i my natłukliśmy

Niemców. W atakach na bagnety zawsześmy, cholera, szwabów odparli. Tylko jedna rzecz i ta może nas zgubić, to za mało zmotoryzowanej broni i bombowców mamy. Szwabi tym tylko nas biją.

— Proszę sobie wyobrazić, leżymy w okopach pod Sieradzem, a tu jak piorun ciężki walą szosą tanki niemieckie, za tankami na samochodach armaty mniejsze i większe, a w końcu cały pułk żołnierzy też na opancerzonych wozach samochodowych. Wypoczęci w hełmach na głowie, bez plecaków nawet. Co trzeci żołnierz ma lekki karabin maszynowy. Wszystko zaś to pod osłoną kilkunastu, albo kilkudziesięciu samolotów niemieckich. A my tymczasem niewyspani, zmęczeni od trzech dni nie widzieliśmy kuchni. Trochę sucharów i dobrze jak było czym popić z manierki. A co gorsza bywało, że i amunicji zabrakło.

Pomimo to walczyliśmy jak lwy. Z granatem w ręku, często i z samym bagnetem tylko rzucało się bractwo nasze na czołgi nieprzyjacielskie. Dwa z nich unieruchomiliśmy przez podpalenie wiechciem słomy. Prawda, że kilkanaście ciężkich tanków i dział rozbiliśmy pod Sieradzem i Wieluniem, ale co to znaczy na setki, a może tysiące. Ciężko nam będzie i kwita — mówię otwarcie.

Wyjął brudną chusteczkę i otarł sobie oczy. Może mi się zdawało tylko, że po mizernej jego wychudzonej, choć młodej twarzy, potoczyły się dwie błyszczące łzy.

Szybko minęła mi ta podróż w tramwaju z Pabianic do Łodzi. Anim się spostrzegł jak trzeba

było wysiadać. Byliśmy już w Łodzi na Górnym Rynku.

Miasto tonęło w ciemnościach. Gdzieniegdzie tylko przy bramach, albo na rogach ulic słabe jak błędne ogniki lub robaczki świętojańskie migotały światła fioletowe. Od czasu do czasu ukazywały się większe i silniejsze błyski kolorowe. Były to przyćmione światła lamp umieszczonych na przodzie w samochodach, które szybko przelatywały ulicami w jedną i drugą stronę. —

ŻEGNAJ MI GRODZIE RODZINNY

Twardo i smacznie zasnąłem na wygodnym łóżku u swej starszej siostry Heleny, zamieszkałej przy ulicy Rzgowskiej. Obiecywałem sobie dobrze wypocząć, żeby mieć zapas nowych sił do dalszej podróży.

Do Warszawy mam jeszcze rowerem przejechać około 200 klm. Pociągi, jak się dowiedziałem, już nie kursują.

Nie wiem — pierwsza czy druga godzina była w nocy, gdy nagle zbudziło mnie głośne wołanie mej siostry.

— Wstawaj Leon! w mieście jest coś niewyraźnie. Albo nalot nocny, albo też może Niemcy niedaleko.

Zerwałem się i spojrzałem w okno. Istotnie, szum, gwar na ulicy. Po obydwóch chodnikach, jedna niekończąca się procesja łodzian z walizkami w ręku, lub wielkimi tobołami na plecach. Wszyscy spiesznym krokiem zdążają do środka miasta.

Ubrałem się i umyłem szybko. Wybiegłem przed bramę i pierwszą napotkaną kobietę zapytuję:

— Dokąd to ci ludzie tak się spieszą teraz w nocy?

— Ha! każdy się chce dobrodzieju ratować przed śmiercią, czy nieszczęściem. Przed paru godzinami sama widziałam, jak policja nasza na Chojnach, jeszcze o 10-tej godzinie wieczorem spakowana, na gwałt wyjeżdżała. Czyż może być dobrze, jeżeli policja już uciekła? Trza się ratować, trudno. —

Poprawiła sobie na plecach duży tłumok związany w płachtę i poszła razem z tłumem.

W bramie, gdzie jeszcze chwilę się zatrzymałem, jeden z młodszych robociarzy odzywa się do swego kolegi.

— Trudno, trzeba się i nam zbierać.

— Macie rację i prawdę mówicie kolego — odzywa się drugi, czekać aż Niemcy nas „chapną" i do Vaterlandu wywiozą, albo też patrzeć jak nasi znajomi łódzcy „przyjaciele" będą się teraz nad nami pastwić i mścić. Przecież się może Polsce jeszcze do czegoś przydamy. Niema rady, trza się pakować.

Zdenerwowany wpadam na górę do siostry.

— Co tu robić? trzeba chyba i mnie się ruszać dalej, niema co czekać. Kto wie co może być jutro?

— A wiesz Leon, — mówi siostra do mnie — słyszałam jak w bramie, może przed godziną rozmawiali, że wojska niemieckie są już pod Piotrkowem i Łaskiem.

Nie było czasu na długie namyślanie się. Za pół godziny byłem już gotów do podróży.

— Szkoda, że już odjeżdżasz, rzewnym głosem odzywa się siostra do mnie. — Ale rozumiem, że zostać nie możesz, jako kapelan musisz dzielnie

spełnić swój święty obowiązek. Ja z dziećmi i wnuczkami zostaję. Zdaję się na wolę Bożą. Przeżyłam wojnę światową w Łodzi, może Pan Bóg pozwoli, że i podczas tej, nieszczęście nas minie.

Przy pożegnaniu się dodała:

— Niech cię Pan Bóg prowadzi i Matka Jego Najświętsza braciszku kochany. Ręce miała złożone jak do modlitwy, a oczy zwrócone do obrazu, przed którym płonęła mała lampka. A we Mszy św. wspomnij czasem o nas wszystkich bliskich i krewnych.

Pamiętam, że była to wzruszająca chwila w moim życiu.

— Przypuszczam — przed samym odejściem dodałem — że wojna obecna długo trwać nie może i że da Bóg zobaczymy się jeszcze.

Na ulicach Łodzi ruch wzmaga się z każdą chwilą. Szosą od strony Piotrkowa i Pabianic ciągną się nieprzerwane szeregi wozów różnych — i chłopskich z naładowanymi workami, i wojskowych pełnych różnego sprzętu żołnierskiego. Auta we wszystkich kierunkach pędzą. Najwięcej się uwijają w jedną i drugą stronę, duże ciężarowe wozy, przydzielone na usługi Czerwonego Krzyża. Tu i ówdzie przechodzą szybkim krokiem jakieś postacie w mundurach wojskowych, ale w spodniach jeszcze i czapkach cywilnych. Fala ludzka coraz więcej rośnie i płynie po obydwóch trotuarach, głównie ulicą Piotrkowską w stronę Placu Wolności. Przed wieloma domami w bramie mieszkańcy Łodzi, co wyskoczyli z łóżek na wpół

Tylko jedyne dziecko zdążyła wyratować.

ubrani stoją i przypatrują się wystraszonymi oczami niezwykłemu w nocnej porze ruchowi, tłumacząc na swój sposób ten wielki niezrozumiały popłoch.

Nigdzie już na rogach ulic niema policjanta. Gdzieniegdzie tylko widać cywila z białą opaską na ramieniu — straż obywatelska. Czuje się wszędzie i u wszystkich wielkie zdenerwowanie. Bo i któż może zagwarantować, że Niemcy rzeczywiście już z rana nie będą w Łodzi?.

Po równej asfaltowej jezdni szybko przemknąłem się przez Piotrkowską do Placu Wolności.

Z ulicy 11. Listopada, gdzie znajduje się DOK. Łódź i główne koszary wojskowe, z wielkim grzmotem i hukiem wpada i koło pomnika Kościuszki zakręca, kilka ciężkich armat w ośm koni zaprzągniętych. Z tyłu kłusem pędzi oddział konnicy. Skręcają w ulicę Nowomiejską i co sił jadą w kierunku na Zgierz. Być może, że jeszcze przed wschodem słońca muszą być na stanowisku. A może to ucieczka pod osłoną ciemnej nocy przed wrogiem ...?

Na ciemnym bezgwiezdnym tle nieba mocno i groźnie rysuje się w górze na prostym, potężnym cokole ciemna, spiżowa postać Tadeusza Kościuszki. W momencie tego strasznego popłochu, zdawało się, że jakby ożył na chwilę ten wielki wódz Narodu i zejść chciał z tego granitowego, wysokiego postumentu, już nogę prawą naprzód wystawił, już za miecz chwyta, już głowę do góry wzniósł, już zdaje się krzyknąć chce:

— Polacy! bohaterskiego Narodu synowie, czemuż serca swoje szlachtne i zawsze odważne zwąt-

pieniu poddajecie... Czemuż tak łatwo panice ulegacie, choć wróg potężny... Za broń! Ojczyzna w potrzebie, choć niebezpieczeństwo tak wielkie i bliskie. Za broń!...

Na ulicy Nowomiejskiej przez samych żydów zamieszkałej wrzało jak w ulu. Z wielu domów wynoszono całe skrzynie towarów, różne sprzęty, meble i inne graty. Wszystko to ładowano na wozy, lub auta żydowskie przed bramą stojące. Harmider, okrzyki, lamenty płaczących żydówek rozlegały się głośno po całej dzielnicy.

Na Starym Mieście, około kościoła Najśw. Marii Panny, którego mysmukłe wieżyce gotyckie ginęły wysoko w mroku nocnym, skręciłem na rynek Bałucki i ulicę Łagiewnicką. Wyjechałem za miasto.

Do Warszawy obrałem sobie drogę przez Łagiewniki, Stryków, Brzeziny, Rawę Mazowiecką i t. d. Myślałem sobie, że przecież na głównym trakcie warszawskim napewno spotkam jakiś oddział wojskowy, do którego się dołączę, albo z którym się zabiorę na samochodzie, choćby ciężarowym.

Od Łodzi do Łagiewnik przestrzeń około 6 klm. po pięknej, nowej i gładkiej, jak stół, szosie przejechałem szybko. Zatrzymałem się na pagórkowatym obszernym placu w Łagiewnikach, przed klasztorem Franciszkanów.

Zaciszne i szare mury świeciły już światełkami małych okienek klasztornych, sam zaś klasztor tonął jeszcze w mroku i mgle nocnej.

Spojrzałem w stronę Łodzi. Hen... daleko gdzieś... w ciemnościach nocy, od strony wschod-

niej, jakby nad Pabianicami, Łaskiem, czy moją Wolą Wiązową zaróżowiło się z lekka niebo. Ciemna noc zaczęła blednąć. Różowy pas na wschodzie stawał się coraz jaśniejszym i większym Budził się dzień.

Z mgieł porannych, jak z bezbrzeżnej toni morskiej, wyłaniać się zaczął krajobraz na horyzoncie... Za chwilę wysokie kominy i wieżyce kościołów rysować się poczęły na tle bladoniebieskiego nieba.

To miasto moich młodych lat...

Z duszy i serca podświadomie wyrywało się ostatnie słowo pożegnania... „ŻEGNAJ MI GRODZIE RODZINNY".

STRYKÓW I BRZEZINY

Jeszcze przed wschodem słońca, w dzień czwartkowy 7 września, jechałem szosą do Strykowa, odległego zaledwie o kilka kilometrów od Łagiewnik.

Liczne samochody cywilne i wojskowe z walizami i kuframi z tyłu przymocowanymi, mijały mnie co chwila, zostawiając tylko za sobą całe tumany kurzu.

Odpocznę chwilę, myślę sobie i śniadanie zjem u siostrzeńca Jasia Cabana, burmistrza miasta Strykowa. Niedawno go odwiedzałem. W domu zastałem tylko służącą. Żona z córeczką 11-letnią wyjechała już do matki swej do Ujazdu.

— Dawajcie mi tu coś zjeść, bom głodny i zmęczony. Pozatem chciałbym jakąś cieplejszą koszulę, jestem tylko w letnim palcie.

Życzeniu memu stało się zadość. Na pytanie moje gdzie jest pan burmistrz, służąca odpowiedziała, że urzęduje jeszcze i całą noc pracował — nie był wcale w domu. Istotnie zastałem go w magistracie, siedzącego przy biurku, obstawionego stosami różnych papierów. Zdenerwowania zbytniego nie okazywał. Całkiem opanowany i uśmiechnięty odzywa się do mnie:

— Witam kochanego, a tak rzadkiego gościa. Cóż to wujka sprowadza? Widocznie, po dwudziestu latach odezwała się znów dusza Kapelana wojskowego.

— Gdzież wujaszek zmierza? Jeżeli na Warszawę, to tylko radzę wprost przez Brzeziny do Rawy i dalej. Na tę drogę kierujemy też wszystkie oddziały wojskowe.

— Co słychać na ogół Jasiu? — pytam się.

Źle wujaszku, zupełnie źle jest z nami. Niemcy niestety, jak widzimy, potrafili w Polsce wywołać taką panikę, że już nic chyba nie zdoła jej powstrzymać, prócz tego idą przecież wciąż naprzód. Do Łodzi wkroczą dziś, albo jutro rano najdalej. Piotrków już zajęty. Na Pomorzu podobno Wisłę przekraczają. A po całej Polsce bombowce ich zupełnie bezkarnie latają i robią, co im się żywnie podoba. Ile zniszczenia, ileż ofiar, a jakież to nieobliczalne straty i ofiary jeszcze ponieść będziemy musieli. Gdzież nasze działa przeciwlotnicze i broń pancerna?

A gdzież ta pomoc obiecana? Teraz dopiero widzimy, jak społeczeństwo nasze było w błąd wprowadzone.

Może taka jest taktyka naszego dowództwa — odzywam się, by oddać pewną część Polski Niemcom, a dopiero ostatecznie rozprawić się z nimi, powiedzmy nad Wisłą — Bugiem, względnie na kresach.

— A myślisz wujaszku, że bolszewicy spokojnie i obojętnym okiem wtedy będą patrzeć? Nie będą

chcieli coś zarobić na nas? Niestety, co do obecnej wojny stałem się krańcowym pesymistą. Ale trudno, cokolwiek się stanie, trwam na moim stanowisku do końca.

Rozmowę naszą przerwał nam jakiś kapitan.

— Czy mam zaszczyt z panem burmistrzem?

— Tak jest...

Przedstawił się i mówi:

— Prowadzę oddział junaków, maszerują od Łodzi, za chwilę tu nadejdą. Czy nie mógłbym prosić dla zmęczonych i zgłodniałych chłopców choć trochę wody przegotowanej?

— Dobrze, panie kapitanie, odrzekł burmistrz, za małą godzinę może być dla stu chłopców skromne śniadanie: kawa i chleb. Stoły, naczynia i lokal mamy już gotowe. W tej chwili wydam rozporządzenie, by przygotowano posiłek.

Kapitan podziękował, wsiadł do auta i szybko gdzieś odjechał.

Za drzwiami stało już kilku innych interesantów. Nie chciałem przeszkadzać i zabierać czasu więcej. Pożegnałem krewnego i pojechałem do Brzezin.

Dzień był piękny, słoneczny, bez chmur, tak zresztą jak od pierwszego dnia wojny. Dla bombowców nieprzyjacielskich istotnie warunki nadzwyczaj sprzyjające.

Przestrzeń 18-tu kilometrów przejechałem dość szybko. Około godziny 10-tej byłem już na rynku w Brzezinach. Postanowiłem odpocząć z godzinę w klasztorze OO. Bernardynów.

Do Brzezin napływało coraz więcej ludzi, fur

i samochodów od strony Łodzi. Przejeżdżając przez rynek usłyszałem przeraźliwy głos dzwonka pożarowego, umieszczonego na rogu ulicy. Po strażacku ubrany jakiś człowiek, szarpał nerwowo i gwałtownie sznurek przywiązany do dzwonu. Ktoś krzyknął na cały głos:

— Alarm lotniczy!...

Ludziska momentalnie biegiem uciekać zaczęli z rynku i ulicy. Jedni do mieszkań, drudzy do bram. Małe oddziały wojskowe, furgony żołnierskie i samochody też zjeżdżały w boczne ulice, kryjąc się pod drzewami. Momentalnie miasto zamarło. W stronę Brzezin leciało kilka samolotów. Po miasteczku rozległo się głuche trajkotanie karabinu maszynowego. Od czasu do czasu słychać było i cięższy strzał armatni. To nasi strzelają w kilku punktach z działa przeciwlotniczego i karabinów maszynowych.

Niemieckie bombowce z głuchym warkotem leciały, ale bardzo wysoko, jakąś chwilę krążyły nad Brzezinami i czując może celne strzały naszej obrony, znikły gdzieś w chmurach.

Jakaś mała dziewczynka wskazała mi drogę do klasztoru. Uprzejmy braciszek otworzył mi drzwi i poprowadził do refektarza.

Zauważyłem, że zjawienie się moje, jako nieznajomego bliżej księdza, żadnego wrażenia na obecnych w refektarzu nie zrobiło. Od pięciu już bowiem dni wielu podobnych do mnie przejezdnych, spragnionych choć na chwilę odpoczynku, przejść musiało przez ten refektarz klasztorny.

Przy stole w towarzystwie ojca gwardiana i kilku braci zakonnych na pierwszym miejscu siedział wysokiego wzrostu, tęgi i poważny ksiądz w ładną sutannę ubrany. Na czarnej sukni wyraźnie odrzynały się guziczki i szarfa koloru czerwono-fioletowego. Na palcu lewej ręki widniał duży pierścień. Był to ksiądz prałat i proboszcz zarazem ze Zduńskiej Woli. Przedstawiłem się.

— A, to ksiądz proboszcz, jakby mój sąsiad, — dodał po chwili — przegradza nas przecież tylko Widawa. Znam tę waszą Wolę-Wiązową. Bywałem tam na odpustach za moich młodych lat. Co tam słychać w waszych stronach nad Wartą? A czy nie macie jakich wiadomości ze Zduńskiej Woli?

— U mnie, proszę księdza prałata, gdy wyjeżdżałem jeszcze w niedzielę, było dzięki Bogu, wszystko w porządku. Dziś napewno gospodarują już tam Niemcy. W okolicach Widawy i nad Wartą były zaciekłe walki. W nocy z niedzieli na poniedziałek widziałem nad Widawą dużą łunę. Co do okolic księdza prałata, to wiem tylko, że Sieradz prawie zupełnie zniszczony i spalony. W drodze do Łodzi z piątego na szóstego września słyszałem nie milknące w tamtej stronie ciężkie strzały armatnie. Przez całą noc Niemcy bombardowali miasto. Co zaś do Zduńskiej Woli, to mówił mi ktoś w podróży, że w niedzielę 3-go września podczas sumy jedna z bomb niemieckich uderzyła w kościół. Ciężko ranny miał zostać ksiądz wikary odprawiający nabo-

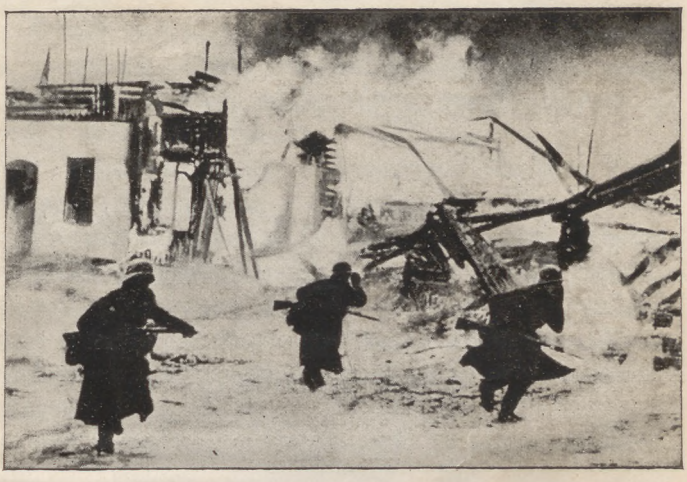

Mienie i dobytek niewinnych mieszkańców w ogniu.

W czasie nalotu.

żeństwo i kilkadziesiąt osób cywilnych. Nie wiem czy został kto zabity. Kościół jest uszkodzony.

Ksiądz prałat westchnął głęboko, wstał od stołu i patrząc załzawionymi oczyma przez okno klasztorne na jasny błękit nieba, mówił przyciszonym i drżącym głosem:

— Zbrodniarze... zbrodniarze. Że też kary Bożej niema na nich.

Po prawej stronie siedział niedużego wzrostu o kościstej, bladej twarzy, w brązowym habicie, przepasany białym, grubym sznurem, z wygoloną dużą koroną na głowie — ojciec gwardian. Ręce złożone jak do modlitwy oparł na stole. Po chwili odzywa się:

— Trudno będzie Polsce dziś już pokonać Niemców. Tracimy niepodległość. Ileż ofiar, Boże kochany, ta wojna jeszcze pochłonie... A nie słyszał ksiądz proboszcz jak się obchodzą Niemcy z księżmi i zakonnikami?

— Słyszałem tylko od żołnierzy — odpowiedziałem — którzy brali udział w walkach za Wieluniem, że po wkroczeniu pierwszego dnia zaraz Niemcy w jednej parafii nad granicą pruską mieli zabić znanego działacza i kaznodzieję. Zamordowali go przy ołtarzu, w chwili kiedy rozdawał Komunię wiernym.

— No, że nie będą szwabi łaskawi dla nas — odzywa się ksiądz prałat — to może być ojciec gwardian pewny.

— A wiecie co proboszczu? — zwraca się do mnie — pomimo wszystko postanowiłem dalej się nie ruszać. Dosyć mam tej wędrówki. Mógłbym

może i do Warszawy się dostać, mam tam rodzinę. Ale czyż oni biedacy nie będą przechodzić tej gehenny, co i my, a może i większej? Tu, na tym świętym miejscu postanowiłem sobie, że już ojca gwardiana trzymać się będę, i albo przetrzymamy albo zginiemy razem. Trudno... w każdym razie na śmierć będziemy gotowi — prawda kochany ojcze!?

Ksiądz prałat wyjął srebrną papierośnicę i poczęstował nas dobrym papierosem.

Ja tymczasem kończyłem herbatę. Drzwi do refektarza otwierały się co chwila. Brat furtian raz po raz coś nowego melduje swojemu przełożonemu: że ktoś prosi wody przegotowanej, że jakaś niewiasta dostojnie ubrana z małą dziewczynką stoi u furty i prosi o trochę strawy, albo o kawałek chleba, bo nigdzie w sklepie nie może kupić. Dwa dni już nie jadła. A to jacyś wojskowi znów o coś proszą i t. d...

Wstałem od stołu i podziękowałem ojcu gwardianowi za przyjęcie. Wtym wchodzi dwóch znanych mi dobrze kapłanów z mojej diecezji. Młody, dwuletni dopiero księżyna, prefekt z Poddębic i niestary jeszcze proboszcz i dziekan zarazem z łęczyckiego. Zgrzani, zmęczeni, zakurzeni tylko z małymi walizeczkami w ręku. Idą od samego domu pieszo. Proszą gwardiana, czy nie mogą odpocząć i napić się czegoś. Uciekli w ostatniej chwili przed wojskami niemieckimi, które zbliżają się pod Łęczycę od strony Kutna, gdzie żołnierze nasi stawiają nieprzyjacielowi zdecydowany opór.

Na mnie był już czas. Na obiad chciałem zdą-

żyć do dawniejszego mego sąsiada z Restarzewa, przemiłego i zacnego księdza kanonika Wolskiego, proboszcza w Jeżowie.

Przez osadę prowadzi szosa warszawska w kierunku na Rawę.

Liczę, że trasę 16-tu kilometrów od Brzezin do Jeżowa, przejadę bez nadmiernego pośpiechu w ciągu 2-ch godzin.

PO DRODZE DO JEŻOWA

Na wszystkich drogach i ścieżkach, które od Łodzi prowadziły do Brzezin, już w godzinach rannych zaroiło się od ludzi. Nieprzeliczone masy i tłumy wciąż płyną. Kobiet, dzieci, młodzieży, robotników, policji, wojska i żydów pełno. Jedni z tobołami na plecach, skrajem szosy idą pieszo, inni jadą na furach, „rolwagach", dorożkach i samochodach wypełnionych różnymi walizami i pakunkami.

Dołączam się już za Brzezinami i ja do tego płynącego, jak fala morska, mrowiska ludzkiego. Często musiałem w tym natłoku stawać, zsiadać z roweru lub zjeżdżać na boczne ścieżki.

Długimi, ostrymi sygnałami torowały sobie drogę przede wszystkim wojskowe samochody, w których oprócz wyższych oficerów, siedziały obstawione różnymi pudełkami kobiety i dzieci.

Cała ta fala ludzka szła w jednym kierunku — na Warszawę.

Kilka kilometrów za Brzezinami widzę z dala tor kolejowy i stację Rogów po lewej stronie szosy stojącą. Od strony Koluszek zwolna posuwa się po szynach długi z kilkudziesięciu osobowych wagonów złożony pociąg. Na przedzie widać nie jedną, ale z dziesięć lokomotyw razem złączonych.

Odważni i prawdziwi patrioci kolejarze polscy nie chcą zostawić wrogowi tak cennego majątku państwowego.

Tłum ludzi pieszo idących zauważywszy pociąg, przyspieszył kroku. Niektórzy biegiem pędzili w stronę toru kolejowego, wymachując z daleka czapkami, chustkami, dając tym sposobem znak maszyniście, aby przystanął. Przeraźliwy świst pierwszej lokomotywy rozległ się w powietrzu. Pociąg zatrzymał się na przejeździe jeszcze przed stacją. Kto żyw, mały i duży, stary i młody wskakiwał do pociągu. Jedni drugim podawali ręce i wciągali się do jeszcze próżnych prawie wagonów. Biedacy, chcieli jak najprędzej i jak najdalej być od wroga. Każdemu jest przecież życie miłe.

Pociąg ruszył i zatrzymał się znów na pobliskiej stacji. Wielu było tam też takich, którzy chcieli jak najszybciej dostać się do Warszawy.

Przejechałem tor kolejowy i szosą za samochodami i furami pędzę w stronę Jeżowa. W odległości mniej więcej dwóch kilometrów przed Rogowem szosa prowadzi przez duży sosnowy las. W lesie odpocznę chwilę, pomyślałem, bo krople potu występują mi na czoło i zalewają twarz. Nie wiem dlaczego ogarnia mnie jakaś bojaźń i dziwny lęk przed czymś. Byleby jak najprędzej do lasu. Samochody, motocykle i fury zaczęły też przyspieszać.

Jeden z policjantów, jadący na furze przede mną, mówi coś do swego towarzysza i pokazuje palcem do góry. Widzę, że obydwaj nabijają ka-

rabiny. Za chwilę słyszę gdzieś przyciszony warkot. Spojrzałem na bezchmurne i błękitne niebo. Po obydwuch stronach szosy, wysoko z za lasu leci w stronę stacji kilka samolotów. Napewno niemieckie bombowce. Patrzę, a od strony Koluszek dziesięć innych maszyn piekielnych warczy złowrogo i nad torem kolejowym płyną szybko też w stronę Rogowa. Czuję jak przeszywa mnie zimny dreszcz. Za chwilę głuchy trzask, jeden, drugi i trzeci, aż ziemia jękła, aż echo odbiło od ciemnej ściany pobliskiego boru. Huk się wzmaga, rośnie, potężnieje... Oglądam się. Nad stacją w kilku miejscach już widać kłęby wijącego się dymu.

Szosa bliżej dworca kolejowego, około przejazdu opustoszała zupełnie. Ludziska rozbiegli się po polach, bruzdach i rowach. Tylko samochody osobowe jeszcze co chwila całym pędem wpadają do lasu. Ochłonąłem, kiedy i sam znalazłem się pod osłoną wysokich sosen. Czułem się tu bezpiecznym.

W leśnej gęstwinie widzę moc ludzi. Nawet jakiś oddział wojskowy rozlokował się między drzewami. Przy kuchni polowej kucharz wydawał żołnierzom porcje obiadowe. Wielu z nich miało na sobie tylko mundury i czapki wojskowe. Nie daleko kuchni na ścieżynie leśnej stał na samochodzie duży karabin maszynowy, z taśmą założoną i z lufą skierowaną do góry.

Gwarno i głośno było w lesie. Kucharz poczęstował mnie czarną kawą. Rozmawiałem z wielu żołnierzami. Duch na ogół był w nich

bardzo dobry i zapał duży. Narzekali tylko, że jeszcze broni dotychczas im nie wydano. Już przecież kilka dni, jak wojna się rozpoczęła, a karabinów w ręku jeszcze nie mieli. Kilku szeregowych prosi mnie o spowiedź.

Po raz pierwszy od wymarszu z domu, jako kapelan spełniam swój obowiązek. Siadam na starym, zmurszałym pniu, mchem porośniętym, i skruszonym żołnierzom udzielam rozgrzeszenia.—

Jeszcze nie zdążyłem wyspowiadać ostatniego gdy w tem zawarczało nad lasem kilka samolotów. Pada rozkaz dowódcy:

— Cisza! Kryć się wszyscy pod drzewa! Niemcy chcą nas wypatrzeć i wyśledzić.

Z huraganowym szumem i trzaskiem zawyło kilka ciężkich maszyn niemieckich, zupełnie nisko lecących, tuż nad wierzchołkami drzew. Od spodu, na błyszczących szerokich skrzydłach odbijał jaskrawo splugawiony krzyż — swastyka. Gdzieś za lasem słychać było pojedyńcze, słabe i głuche strzały. To policja i niektórzy z żołnierzy prali z karabinów do opancerzonych wielkich bombowców niemieckich. Za jakąś godzinę uciszyło się zupełnie.

Wyszedłem z lasu na szosę. Tuż niedaleko za lasem leży ktoś z lewej strony drogi, blizko rowu. Przy leżącym, skręcony w bok stoi pochylony motocykl.

— Czyżby ktoś z jadących zachorował? — myślę sobie — możeby mu pomóc? Dziwna rzecz, wszyscy, którzy przejeżdżają, czy idą pieszo nie

zatrzymują się, tylko obojętnie spojrzawszy na chwilę w bok, spieszą dalej.

Podchodzę. Blady, martwy jakiś młody człowiek, ładnie ubrany, leży w burej kałuży skrzepniętej krwi. Z czoła, zdawało się, jeszcze płynie wąski czerwony pasek. Ręce już martwe, zaciśnięte — jakby do walki, a na sinych zamarłych ustach zawisł wyraz przekleństwa.

Droga znów się zaroiła od ludzi. Od strony Brzezin i przejazdu kolejowego nanowo zaczęły zwolna posuwać się mniejsze i większe grupki uciekających. Pod samym Jeżowem już zatrzymuję jakiegoś policjanta.

— Nie wie pan, panie posterunkowy, co jest ze stacją i pociągiem osobowym, do którego cała masa ludzi wsiadła na przejeździe pod Rogowem?

— Stacja zrujnowana zupełnie, widzi ks. kapelan, całe niebo chmurami dymu zakryte — pokazuje mi palcem na Rogów. — Z pociągu drzazgi zostały. Leżałem w rowie z tamtej strony przejazdu kolejowego. Może o niecały kilometr ode mnie bomby pękały. Widziałem dokładnie całe bombardowanie. Masa kobiet i dzieci z pociągu wyskakiwało do rowu. Jedna z większych bomb, chyba 500-kilówka, trafiła w sam środek pociągu, druga w lokomotywę. Kilkanaście wagonów zupełnie rozbitych i wywróconych. Trupów i rannych musi być moc. Słyszałem tylko jęki i krzyk przeraźliwy z daleka.

Biedacy, nie zdążyli uciec przed barbarzyństwem okrutnego najeźdźcy, przed gwałtem i prze-

Zbombardowana stacja i tory kolejowe.

Jedna z wielu ofiar...

mocą, przed śmiercią i kalectwem... Nie dojechali do Warszawy...

Żywo i wyraźnie stanęły mi w pamięci słowa Ojca Gwardiana w refektarzu powiedziane: „a ileż jeszcze, mój Boże, ofiar niewinnych Polska ponieść będzie musiała".

U KSIĘDZA KANONIKA W JEŻOWIE

Odetchnąłem trochę, choć nie na długo, gdy za chwilę stanąłem pod kościołem w Jeżowie.

Piękna nowa świątynia, w polskim stylu gotycko-nadwiślańskim, masywnymi swoimi murami z czerwonej cegły i potężną wieżycą cudownie wznoszącą się do nieba, dominuje z niewielkiego wzniesienia nie tylko nad miasteczkiem, ale i nad całą okolicą.

O kilkanaście zaledwie kroków od wspaniałej świątyni w ładnym, dość dużym ogrodzie, w starym drewnianym domku mieściła się plebania.

Bardzo serdecznie przywitał i przyjął mnie, dawniejszy mój sąsiad z nad Warty, a obecny proboszcz miejscowy, zacny ks. kanonik Wolski. Uśmiechnięty, czerstwy na twarzy, średniego wzrostu, dobroduszny staruszek, ponad osiemdziesiątkę wiekiem sięgający, ogromnie się ucieszył z mojej wizyty.

— Ha ha!... to i was, kochany sąsiedzie, zawierucha wojenna aż do nas sprowadziła. Prawda, że to przecież kapelan z was stary, jeszcze z 20-tego roku. A szablę, co to wisiała zawsze u was obok biurka wzięliście to na Niemca? Trzeba było zabrać i ściąć głowy choćby dwom albo trzem prusakom.

— Szablę złamaną wprawdzie, choć pamiątkową zostawiłem — księże kanoniku, ale zabrałem za to stułę i krzyż mój stary kapelański.

— Chodźcie, chodźcie księże Leonie, boście widzę zmęczony, zgrzany, zakurzony. Proszę się w moim pokoju obmyć, odświeżyć i oczyścić z kurzu, a potem siadać zaraz z nami do obiadu. Skromny tam, bo skromny będzie ten dzisiejszy obiadek, ale myśmy się was przecież nie spodziewali. Koniaczku się znajdzie kieliszeczek, a wina będzie też jeszcze z jedna butelka. Mają Niemcy wypić, to my ich uprzedzimy.

Przy obiedzie był nadzwyczajnie miły i pogodny nastrój. Tylko rozmowa na temat wypadków ostatnich dni na chwilę zachmurzała oblicza uczestników obiadu.

Najwięcej zdenerwowania okazywał młody ks. wikary. Wstawał kilkakrotnie podczas obiadu od stołu i wychodził na ganek, do ogrodu, albo wypatrywał coś na błękitnym, bezchmurnym niebie, lub też przyglądał się nieprzeliczonym tłumom zdążającym szosą w stronę Rawy.

Dokądże ci biedni ludzie idą już trzeci dzień, księże kanoniku? — pyta wystraszony młody księżyna — przecież to okropne! Sam nie wiem czy wytrzymam do jutra. Ksiądz kanonik nie miałby przeciwko temu nic, gdybym się zapakował i wyjechał do rodziców?

— Nie tylko nie będę miał nic przeciwko temu — odpowiada pełen życzliwości kanonik — ale i dziwić się nie mogę. Przecież jesteście młodym człowiekiem, macie obowiązek względem rodzi-

ców, a z parafią nie jesteście związany jak proboszcz. Ja, co innego, już stary jestem, przeżyłem życie, nie wiele zresztą już mi się należy, muszę zostać, bo nie mogę parafii zostawić, mogę się przydać. Nie wyjadę nigdzie. „Sit voluntas Tua..“

Już kończył się obiad. Wpada gwałtownie do mieszkania młody, energiczny, w mundur ubrany ks. kapelan Mielczarski.

— Kanoniku kochany! Przejeżdżamy przez Jeżów, może by było co do zjedzenia? Dwa dni już nie jadłem gotowanego. Pułk mój cały rozbity i zdziesiątkowany okropnie, ale trzymam się jeszcze niewielkiej grupki naszych żołnierzy. Liczę, że nam braki uzupełnią. Zajęcia mam moc. Rannych, zabitych tyle. Kilkakrotnie byłem już w ogniu. Bomby padały tuż obok mnie. Dzięki Bogu, że jeszcze żyję. Nie wiem jak będzie dalej, ale ciężko chyba nam będzie... niestety... brak bombowców i broni pancernej. Duch w żołnierzach naszych pierwszorzędny. Trudno, trzeba się bić do ostatka.

W kilka zaledwie minut był już nie głodny i gotów do dalszej podróży.

Uważajcie księża dziś dobrze! — dodał jeszcze przed swoim odejściem — bo z ruchów samolotowych wyczuwam, że może być dziś nalot niemieckich bombowców na Jeżów. Rogów przed południem zbombardowali, pali się jeszcze.

Wziął od ks. kanonika wina mszalnego z pół butelki, kilka hostii, wsiadł na samochód wojskowy i odjechał.

Wikary poszedł się pakować. Ks. kanonik wydawał pewne zarządzenia gospodarcze. Ja wyszedłem do ogrodu. Z za płotu widać było dobrze, że gdzieś daleko pod Rawą w dwóch miejscach były wielkie pożary. Musiały płonąć całe wsie, wskazywały bowiem na to dwie ogromne ciemne chmury dymu rozchodzącego się po niebie.

Gdzieś bardzo wysoko kręciły się samoloty, warczenie których stawało się z każdą minutą bliższe i głośniejsze. Upłynęło może piętnaście minut, a tu już nie wiadomo skąd nad miasteczkiem krąży z szumem i z trzaskiem ogłuszającym kilka błyszczących w słońcu wielkich niemieckich bombowców. Czuję jak skóra mi cierpnie — „Jezus Maria, chyba będą bombardować miasto“ — pomyślałem sobie.

Wybiegam przed kościół. Ludzi na drodze prawie nie widać. Gdzieniegdzie tylko jeszcze ktoś biegiem pędzi przez ulicę. Jeszcze kilka samochodów mignęło na szosie i skryło się w tumanie kurzu. Żydzi pospiesznie zamykają sklepy. Kilka żołnierskich wozów zaprzągniętych w parę wynędzniałych koni stoi w bocznej ulicy. Żołnierze pokryli się gdzieś.

Nad miastem prostopadle do drogi leci jeden samolot zupełnie nisko. Wbiegam z powrotem do ogrodu. Widzę jak za miastem zakręca, a gdzieś z boku dołączają się nieco wyżej dwie inne maszyny. W tym trzask głuchy jeden, drugi, trzeci... Słyszę krzyk gdzieś daleko w miasteczku: pali się!... ratunku! ratunku!... Widzę unoszący się

świeży dym w trzech, czy czterech miejscach. Czuję nawet swąd spalenizny. Zdaje mi się, że już słyszę trzask palących się dachów. Warkot przeraźliwy nie ustaje, owszem potężnieje. Obija mi się o uszy zupełnie dokładne głuche trajkotanie karabinów maszynowych — to Niemcy strzelają. Rozglądam się za drzewem, lub za jakimś schronem. Stanąłem przy pochyłym grubym pniu rozłożystej gruszy. Przeczuwam, że coś strasznego będę tu przechodził.

— Księże Kanoniku, proszę się ratować! — krzyknąłem z całych sił — stawać za drzewem. Bombardują i palą miasto. Mogą i tu nadlecieć.

— Ha, trudno, co będzie to będzie — odpowiada trochę jednak zmieszany i zaczerwieniony kanonik.

Stanął przy grubym wysokim drzewie bliżej kościoła. W pewnym momencie z za wieży kościoła z ogłuszającym hukiem i przeraźliwym szumem zjawiły się dwa olbrzymie samoloty. Zakręciły nad miastem i już są nad kościołem i plebanią.

Przycupnąłem ku ziemi przy rozłożystym krzaku agrestu, tuż pod grubym drzewem. Zajęczało coś przeraźliwie. Huk wybuchu bomby, jak piorun ogłuszający, rozległ się wokoło. Zaćmiło mi w oczach. Pomyślałem, że nadchodzi ostatnia moja chwila. Druga bomba jeszcze bliżej, jak grom z jasnego nieba trzasła tuż koło mnie. Tylko błysło. Ziemia zastrzęsła się podemną. Drzazgi posypały się z drzew owocowych. Słyszę brzęk rozsypującego się szkła z okien kościoła i plebanii. Z wysokiej wieży rozległ się krótki jęk

dzwonów. Bombardowanie i huk eksplodujących bomb, który mnie zupełnie ogłuszył, nie ustaje. Byłem przygotowany na wszystko, nawet na śmierć. Jeszcze przez chwilę słyszę i czuję śmiercionośną maszynę gdzieś wpobliżu, widzę ją jakby tuż nad sobą. Wtem ogłuszający huk i gwałtowny pęd powietrza zwalił mnie na ziemię. Zaszeleściło coś po drzewach. Rozprysły się jakieś płatki fruwające w powietrzu. Czuję swąd i syczenie jakiegoś gazu czy płynu samozapalnego. Patrzę, a tu ogniste języki, jak żmije, w okamgnieniu obejmują zabudowania gospodarcze probostwa.

— Pali się probostwo! — ktoś wrzasnął głośno.

— Wyprowadzajcie krowy i konie! — krzyczy ks. kanonik.

Miasteczko całe i zabudowania plebańskie stały w ogniu.

Jeszcze słychać w górze głuche trajkotanie karabinów maszynowych. Jeszcze gdzieś z dala, już coraz cichsze, piekielne warczenie djabelskich maszyn. Odleciały...

Wybiegam z za drzewa. Patrzę, czy kościół cały. Na szczęście nie tknięty. Dachówek tylko sporo i szyb potłuczonych leżało dużo na cmentarzu. Stodoła i obora w ogniu. Gorąco coraz większe. Jacyś ludzie uwijają się koło stojących w płomieniach budynków. Wtem przeraźliwy bolesny, do okropnego i przejmującego jęku podobny, rozległ się ryk bydła. Ponad płomieniami wzbiła się gromada gołębi, z której co chwila po dwa, po trzy wpadają oszołomione do ognia. Za

chwilę wyć zaczął żałośnie pies przywiązany do budy. Okropny, niezapomniany widok.

Ks. kanonik z brewiarzem w ręku, ze łzami w oczach, w letnim tylko płaszczu odzywa się:

— Cały majątek, mój Boże, i dorobek kilkudziesięciu lat ginie w płomieniach. Patrzcie! już i plebania zajęła się w jednym rogu na dachu.

Istotnie ognisty język zaczął się wydostawać ze szczytu.

— Już teraz pozostanę tylko w jednej sutannie.

— Może się da coś ks. kanonikowi uratować — pomyślałem.

Wpadam bez namysłu do pokoju proboszcza, chwytam co pod ręką: wynoszę trochę ubrań, akta parafialne i wiele innych rzeczy. Rzucam to wszystko pod drzewo. Ks. wikary za moim przykładem też zaczął wynosić swoje rzeczy. Po raz drugi biegnę, ale czuję, że sufit już pęka, szyby wylatują, żar coraz większy. Jeszcze coś wyniosłem. Za kilka minut już ganek i drzwi wejściowe stały w płomieniach. Całe mienie zacnego staruszka kanonika było w ogniu.

— Dobrze, że chociaż kościół mi ocalał — wyszeptał ze łzami w oczach — byłaby to strata nie do powetowania.

Miało się już ku wieczorowi. Zbliżał się i dla mnie czas odjazdu, a tu jeszcze przeszło 20 kilometrów przestrzeni dzieli mnie od Rawy, gdzie chcę jeszcze dziś zajechać, odpocząć i przenocować u mego kuzyna Z... Nie wiem, co mnie może jeszcze spotkać w drodze. Tak bliski już

Płonące miasteczko.

byłem śmierci. Czy nie warto się przygotować dobrze do tej ostatniej chwili? Postanowiłem odbyć spowiedź. Proszę ks. kanonika, czy by nie był tak dobry dać mi na drogę rozgrzeszenie. Prosił, bym przyniósł z sąsiedniego domu krzesło i stułę z zakrystii.

Niesamowity był to moment; chwila, której nigdy nie zapomnę. Na cmentarzu kościelnym, pod ścianą zakrystii klęczę przed mym spowiednikiem godnym i starszym kapłanem. Z załzawionymi oczyma patrzy on na dopalającą się plebanię i zabudowania gospodarcze. Wszystko to ginęło w płomieniach.

Za chwilę wyciągnął swoją drżącą dłoń kapłańską. Rozległy się ciche słowa rozgrzeszenia: Ego te absolvo...

Jeszcze klęczałem chwilę.

Z przepalonych i walących się belek i ścian rozlegał się głuchy trzask. Bił żar. Tysiące iskier wylatywało w powietrze i rozpylało się wokoło. Niektóre padały obok mnie na cmentarzu, gasnąc natychmiast...

ZBRODNIARZE

Dzielnica w sąsiedztwie plebanii cała stała w ogniu. Zwłaszcza na krótkiej ulicy od kościoła do szosy wiodącej, wszystkie zabudowania płonęły, a właściwie dopalały się. Jeden kościół nowy, murowany stał cały jeszcze, tylko dymem, płomieniem i tysiącami iskier otoczony wokoło. W oknach brakowało wiele szyb. Gdzieniegdzie widać było, jak duże kawały tynku z gzymsów na froncie kościoła poodpadały.

Miasteczko przedstawiało obraz okropnego zniszczenia. Przejmujący i straszny widok. Tu i ówdzie wśród walących się z trzaskiem przepalonych w ogniu dachów, belek i ścian raz poraz rozlegał się przeraźliwy męski krzyk rozpaczy, albo głośny i płaczliwy lament biednych i nieszczęśliwych kobiet i dzieci.

Z trudnością wydostałem się, jadąc na rowerze, poprzez palącą się i pełną jeszcze żaru ulicę Wyjechałem na szosę rawską. Teraz — myślę sobie — mam prostą i bezpieczną drogę aż do samej Rawy. Była godzina 5-ta po południu.

Nie wiem czy zdążyłem ujechać szosą z pół kilometra za Jeżów, a tu droga zatarasowana: to wyrwy i doły jakieś głębokie, to słupy telefoniczne i drzewa przydrożne pochylone lub powywracane,

to znów jakieś wozy leżą rozbite w poprzek szosy.

Co do licha — myślę sobie — co to ma znaczyć? Rozglądam się — ludzi na drodze prawie nie widzę.

Nagle, znienacka z rowu przydrożnego wyskoczył sierżant. Miał opaskę z czerwonym krzyżem na lewym ramieniu i dużą torbę przy boku.

— Dobrze — podchodząc do mnie odzywa się sierżant — że księdza kapelana spotykam. Sam jeden nie mogę dać rady. Wszyscy uciekają. A tu tyle rannych i umierających. Proszę spojrzeć. Cała szosa, przydrożne rowy i pola pełne ofiar barbarzyństwa niemieckiego. Wszyscy wystrzelani z karabinów maszynowych. Proszę mi pomóc. Przeważnie są katolicy. Niektórzy proszą i błagają o księdza.

Rzucam rower na szosę. O dwadzieścia mniej więcej kroków leży wijący się z bólu młody mężczyzna. Oczy ma wysadzone na wierzch. Twarz cała sina, nabrzmiała. Z ucha jednego sączy się krew. Coś szepcze... Nachylam się.

— Czy jesteś bracie chrześcijaninem? mogę ci dać rozgrzeszenie. Stoi przy tobie kapłan katolicki, kapelan.

— Pragnę się wyspowiadać i z Bogiem pojednać — z jękiem wymówił.

Klęknąłem na jedno kolano. Chwila ciszy...

— Boże bądź miłościw... — jeszcze wyszeptał.

Przed odejściem daje mi ręką znak, abym się przybliżył do niego. Drżącym cichym głosem szepcze: „Dlaczego nie na placu boju, tylko na

drodze umieram... Boże!..." Były to jego ostatnie słowa.

Gdzieś dalej nieco słyszę nowe jęki. Biegnę. Żydzisko jakieś biedne, z woreczkiem jeszcze na plecach jęczy strasznie.

— Panie proboszcz! opatrunek... doktór... w brzuch ranny... oj boli, boli... żeby tego Hitlera raz Pan Bóg pokarał, za moją krew, za moją śmierć, za moją żonę i dzieci sierote...

Biegnę do sierżanta po apteczkę. Przychodzimy we dwóch zapóźno. Już śmiertelnie ranny żyd konał. Oczy zachodziły mgłą, tylko żebra jeszcze unosiły się i opadały.

— To, co ksiądz kapelan widzi, — mówi sierżant do mnie, — te jakby kłębki, leżące po całej szosie w dali przed nami, to wszystko już trupy. W polu na tym zielonym kartoflisku, przy szosie po obydwu stronach znajdzie ksiądz jeszcze wielu umierających. A potem trzebaby obejrzeć ten spalony stóg siana, bliżej wsi, przy dopalającej się chacie stojący. Widziałem, jak w czasie strzelaniny ze samolotów, wielu tam biegło, by schować się. Ja tymczasem pójdę do miasteczka, może znajdę doktora, albo felczera jeszcze do pomocy. Zająć się też muszę zaraz uprzątnięciem trupów.

Kilku jeszcze mężczyznom i kobietom ciężko rannym i umierającym udzieliłem rozgrzeszenia.

Nigdy nie zapomnę widoku, który krew mi zmroził w żyłach, widoku tej biednej nad rowem leżącej z zakrwawioną twarzą matki, która już w

śmiertelnym uścisku trzymała rączkę może pięcioletniego synka zabitego, a z drugiego boku przytulała do serca dziecko konające w konwulsjach również zalane krwią.

Pod wskazanym mi przez sierżanta spalonym stogiem nikogo nie znalazłem. Leżało tylko rozrzuconych kilkanaście bezkształtnych kadłubów ludzkich, na których jeszcze tliły się szczątki spalonego ubrania.

Oto taktyka nikczemnych „bohaterskich" Niemców, mających przecież pretensje do wyższej kultury. Podpalać zaciszne, spokojne i odległe od frontu osiedla ludzkie, a potem uciekających z domów, które już płoną, ludzi siekać z karabinów maszynowych i kłaść trupem setki, tysiące niewinnych i bezbronnych ojców, matek i dzieci. I to się nazywa u spodlonego, pogańskiego narodu niemieckiego postępem, kulturą, bohaterstwem.

Zbrodniarze!...

JAK NA POBOJOWISKU

Piękna szosa warszawska, którą jadę dalej, przedstawiała jedno straszne pobojowisko. Co jakiś czas widnieją ogromne na kilka metrów szerokie i głębokie doły, jak świeże groby, wyrwane siłą wybuchu ciężkich bomb niemieckich. Druty telefoniczne zwieszające się z wywróconych lub pochylonych słupów plączą się po całej niemal drodze. A w rowach przydrożnych i przy wozach roztrzaskanych i powywracanych do góry kołami trupy i trupy, niektóre w kłębek zwinięte leżą z głową wtuloną w ramiona, inne rozciągnięte na środku drogi z zaciśniętymi pięściami do nieba mając zwrócone twarze, na których zastygł już śmiertelny przestrach i ból.

Ponuremu temu pobojowisku jeszcze więcej grozy dodawały tu i ówdzie rozrzucone wielkie kadłuby końskie, albo zmasakrowane i na kawały porozrywane, albo rozdęte z wyciągniętymi jak struny długimi nogami. Niektóre drgały jeszcze w śmiertelnych konwulsjach. Straszne, okropne żniwo bezlitosnej śmierci.

Ujechawszy powoli już kilka kilometrów, widzę, przy jednej zrujnowanej i połamanej furze, stoi koń wyprzągnięty, który bez przestanku kiwa dużym łbem, jak to latem nieraz widzi się na

łące w czas upałów. Z uprzęży na nim pozostały tylko same strzępy wiszące. Na ziemi z drugiej strony dyszla leży w czerwonej, skrzepniętej już kałuży, rozerwany bombą niemiecką, jego gniadej maści towarzysz „od pary". Zatrzymałem się na chwilę. Na mój widok stojące wychudzone szkapsko, też ranne kulą karabinową w lewy bok wyciągnęło do mnie swój duży kościsty łeb. Obwąchało mi rękę, chrapnęło ciężko, a po chwili wielkimi, mądrymi ślepiami obejrzawszy się wokoło na nowo zaczęło głową bić pokłony nad rozstrzaskanym wozem i martwym towarzyszem. Pomyślałem sobie, to biedne szlachetne stworzenie też coś w tej chwili przeżywa, cierpi, a może płacze, czy skarży się i żali, że razem z człowiekiem, swoim opiekunem i gospodarzem staje się niewinną ofiarą podłości i barbarzyństwa ludzkiego. A może prosiło wtedy i błagało ratunku?...

Po obydwu stronach szerokiego traktu, który zmienił się w wielkie wydłużone straszne pobojowisko, pochylały się żałośnie przydrożne brzozy polskie.

Niektóre były porozrywane, a grube odnogi i gałęzie leżały odrzucone o kilkadziesiąt kroków od pnia.

Posuwam się niezbyt szybko, ale wciąż naprzód. Przeszkody na szosie i widoki na przestrzeni, niewiem ilu kilometrów, te same co na początku. Wystraszona i uciekająca ludność cywilna widząc to zniszczenie na drodze i jakby wyczuwając smutny powiew śmierci, zdążała do

Rawy zamiast gościncem, ścieżkami i miedzami polnymi.

W jednym miejscu dopala się duża wieś rozłożona po obydwu stronach drogi. Nikt nie gasi, nikt nie ratuje. Musiałem też obejść polami palące się zabudowania gospodarcze. Przejechać szosą było niemożliwe.

Przed samym zachodem słońca, na kilka kilometrów przed Rawą, rzuca mi się w oczy zdaleka przy szosie stojący piękny kościółek murowany i zabudowania plebańskie. Trzeba z pół godziny wypocząć i napić się czegoś — pomyślałem. Przed plebanią kręci się kilkudziesięciu mężczyzn, przeważnie cywilnych. Jedni stoją gromadą w bramie wjazdowej, inni siedzą w rowach przydrożnych lub leżą na klombie i trawnikach, wielu z nich jęczy i stęka. Niektórzy są zakrwawieni ranni, obandażowani. Pomiędzy rannymi uwija się w sutannie, wysokiego wzrostu, chudy i już niemłody proboszcz miejscowej parafii. Okazuje się, że plebanię swoją zamienił na punkt opatrunkowy. Zacny i oddany duszpasterz miejscowy, zorganizował na prędce pierwszą pomoc dla rannych, niewinnych ofiar barbarzyńskiego bombardowania.

Pożywiłem się trochę u księdza proboszcza w pokoiku, odpocząłem chwilę i przed wyjazdem dwom osobom jeszcze, po odbytej spowiedzi, udzieliłem rozgrzeszenia. Kiedy wypoczęty nieco jechałem do Rawy, miało się już ku wieczorowi. Niezwykle krwawy był zachód tego dnia. Gdy ogniokrwiste wielkie słońce skryło się już, na rozpłomienionym horyzoncie gromadzić się zaczęły

Niewinne bezdomne sierotki.

wydłużone pasma chmur, cudnie obramowane z jednej strony na samym brzeżku jasno różowym błyszczącym paskiem. Za chwilę w mroku wieczornym tonąć zaczęła szeroka szosa, smutne drzewa przydrożne i puste zamarłe chaty wieśniacze. Tylko nad pobliską Rawą w dwóch miejscach świeciła wielka niegasnąca łuna.

Mrok już zapadł, gdy z trudnością przedostawszy się przez zbombardowane i spalone przedmieście, zatrzymałem się na rynku w Rawie.

Sklepy pozamykane, w oknach wszystkich domów ciemno. Tylko w jednym kościele parafialnym, frontem stojącym do rynku, duże witraże oświetlone były słabym światłem.

Na przedmieściu Rawy, od strony Tomaszowa płonęło kilka domów. Raz po raz mocniejszy i jaśniejszy odblask pobliskiego pożaru krwawo oświetlał cały rynek. Dowiedziałem się, że dom mego kuzyna także został objęty ogniem.

Ruch na rynku pod osłoną nocy wzmagał się z minuty na minutę. Zwłaszcza szosą od strony Piotrkowa i Tomaszowa przez rynek przejeżdżało mnóstwo aut, z których jedne zatrzymywały się na krótki postój, drugie zaś z pośpiechem skręcały na autostradę warszawską.

Od strony Jeżowa również zaczęły powoli nadciągać większe grupki osób cywilnych, trochę samochodów i jeszcze więcej wozów chłopskich. Niektóre naładowane były pierzynami, workami i gratami, inne znów jako podwody przewoziły ciężko rannych do szpitala miejscowego.

W pewnej chwili zajechało i stanęło na rynku

wielkie auto Białego Krzyża, oddane do dyspozycji grupy lekarzy i sióstr szpitalnych z Poznania. Było w nim ze czterdzieści osób. Młodzi, może najwyżej 17-letni inteligentni chłopcy przydzieleni jako sanitariusze z ogromnym przejęciem opowiadali mi swoje przeżycia i wrażenia z ostatnich dwóch dni: jak to na szosie między Tomaszowem, a Rawą spotkał ich nalot bombowców niemieckich, jak mimo największej strzelaniny i ogłuszającego huku bomb, opatrywali rannych, jak na oczach ich kobiety i dzieci na drodze umierały, jak wreszcie i dwie młode sanitariuszki padły na posterunku zabite przez bomby.

W ostatniej chwili—mówi mi najstarszy ze sanitariuszy — dostaliśmy rozkaz przedostania się do Warszawy, która podobno czyni już przygotowania do obrony. I właśnie chcemy jak najprędzej dostać się do stolicy. Tam się jeszcze więcej możemy przydać. Jakby to było dobrze, żeby i ksiądz kapelan mógł z nami jechać.

— Moi drodzy, frontem i pobojowiskiem w dzisiejszej wojnie jak widzimy, niestety jest cała Polska. Wszędzie, nawet w najodleglejszych zakątkach ziemi, przy drogach, szosach, miasteczkach i wsiach, tak wiele dobrego może zrobić i lekarz i ksiądz.

Jeszcześmy zamienili parę zdań, gdy w tym szosą od strony Jeżowa zajechała chłopska fura. W deskach na słomie leżał jęczący, ciężko ranny mężczyzna w młodym jeszcze wieku.

Wyniesiono z sanitarki nosze. Za chwilę sanitariuszka melduje mi, że ranny przedewszystkiem prosi o księdza. Stan rannego jest ciężki, ma obie

nogi urwane do kolan. Po spowiedzi będzie miał zrobiony opatrunek.

Dreszcz zimny uczułem w całym ciele. Kazałem jęczącego biedaka zanieść na noszach na wolniejsze miejsce nieco dalej od ulicy. Wyjąłem stułę i swój krzyż kapelański. Klęknąłem na ziemi i rozpoczęła się spowiedź, wśród zgiełku, krzyku nawoływań ludzi, których na rynku gromadziło się coraz więcej. Auta przybywały z różnych stron coraz to inne. Większość samochodów nie zatrzymywała się, ale pospiesznie skręcała około słupa przydrożnego, na którym dużymi literami widniał napis „kierunek na Warszawę".

Dłuższą chwilę trwała spowiedź święta. Od czasu do czasu jaśniejsze czerwone światło padało na mego penitenta, leżącego na noszach i jego spuchniętą, zbolałą twarz. Po udzieleniu rozgrzeszenia pytam się ciężko rannego, jak się nazywa i skąd jest.

— Z Łodzi Ks. kapelanie pochodzę. Mieszkam na ulicy Wólczańskiej. Niestety, pierwszy wyszedłem z domu, żeby jak najprędzej przywdziać mundur żołnierski i stanąć w szeregach obrońców Ojczyzny. Nie doczekałem tej chwili. Pragnął bym, żeby ksiądz kapelan żonę moją powiadomił, że nie na placu boju i nie z bronią w ręku ginę za Polskę, tylko konam i umieram tu na rynku, jak wyrzucony sprzęt, niepotrzebny już i niezdatny do niczego. Dlaczego Niemcy tak bezkarnie nas mordują? Gdzie nasze dywizje?.. Gdzie polskie samoloty?... Kapelanie kochany, gdzie nasza broń pancerna?...

Czuję, że jakiś ból gorzki chwyta mnie za krtań. Czuję, że w oczach mam łzy. Nic nie mogłem odpowiedzieć.

Za chwilę przystąpili sanitariusze i ciężko rannego łodzianina przenieśli do szpitala.

W WARSZAWIE

Do Warszawy, trasę przeszło stukilometrową, przejechałem w ciągu nocy z piątku na sobotę z ósmego na dziewiąty września.

Oczywiście, ze względu na noc i na okropne zmęczenie, niewyspanie i wyczerpanie nerwowe, większą część drogi odbyłem ciężarowymi samochodami wojskowymi.

Ruch na szosie warszawskiej był duży. Różne pojazdy mechaniczne szybko mijały liczne wozy wojskowe i chłopskie, które spiesznie zdążały w stronę Warszawy. Na szosie równej, asfaltowej wśród ciszy nocnej rozlegał się tylko szum rozpędzonych maszyn i równomierny stuk kutych kopyt końskich o twardą jezdnię.

Przeważnie całą drogę drzemałem, ale ilekroć przebudziłem się zawsze migotały mi przed oczyma to puste, wymarłe ulice jakichś większych osiedli ludzkich, to chaty przydrożne rozwalone, lub w popiele jeszcze dopalające się, to sterczące ponuro tylko same kominy, lub resztki murów roztrzaskanych.

Niejednokrotnie przejeżdżające samochody przez dłuższy czas zmuszone były posuwać się wolniej, żeby szczęśliwie ominąć wielkie doły, albo też drzewa powywracane na szosie.

W jednym miejscu, gdy tylko wyjechaliśmy z Rawy, widać było wielką łunę na ciemnym tle nieba. Mówiono, że pali się Żyrardów. Przed nami, jakby nad Warszawą, tylko w wielkiej odległości widniały prawie przez całą noc trzy duże plamy czerwonokrwiste. Za podmuchem wiatru raz stawały się jaśniejsze, to znów za chwilę jakby przygasały.

Była godzina piąta rano, gdy od rogatki na Okęciu wjechałem na przedmieście Warszawy. Mieszkańcy, pomimo wczesnej pory, byli już w większości na nogach. Bramy w domach pootwierane. W sklepach spożywczych i piekarniach pełno ludzi. Widać pewien pośpiech przy robieniu zakupów i w zaopatrywaniu się w żywność. Każdy zdenerwowany gdzieś się spieszył.

Zdziwili się bardzo moi kuzyni z ulicy Puławskiej, kiedy zjawiłem się u nich o tak wczesnej porze. Też już nie spali.

— Mamusiu, krzyknęła radośnie na cały głos na mój widok, bardzo miła Zosia, studentka uniwersytetu. — Wujek Leon z Woli Wiązowej przyjechał.

Serdecznie witałem się ze wszystkimi po kolei.

— Wiesz kochany proboszczu — mówi mi kuzynka — już wczoraj Zosia mówiła, że wujek nie usiedzi na wsi, gdy wybuchnie wojna. Napewno, choć już jest po 40-ce, wstąpi do wojska i zostanie kapelanem.

— Ano właśnie przyjechałem, po bardzo ciężkich przygodach i wrażeniach, by zameldować się w Kurii Polowej i otrzymać dalsze rozkazy.

— Niestety wujaszku — dodaje Zosia — zdaje mi

się, że będzie za późno. Edek, porucznik, zna go wujek, narzeczony mój, z którym kiedyś byłam u wujka w Woli Wiązowej, mówił wczoraj, że niektóre Ministerstwa już we wtorek 5 września wyjechały. Nie wiem czy i biskup polowy nie opuścił Warszawy razem z Ministerstwem Spraw Wojskowych.

Przy śniadaniu, ciekawej Zosieńce musiałem opowiadać i o parafii swojej i o tym jak się dostałem do Warszawy. Nie mogła się wydziwić, jak można było przejechać taki kawał drogi na rowerze. Z zainteresowaniem też niemałym słuchała o moich różnych przygodach i przeżyciach w podróży. Następnie i ja od swej kuzynki dowiedziałem się, że brat jej jedyny, Zygmunt, wczoraj już poszedł zapisać się jako ochotnik do nowo powstającego pułku warszawskiego i musiał zostać w koszarach, bo drugi dzień niema go w domu. Opowiadała dalej, że cała ludność cywilna na wezwanie władz nocami i dniami po 12-cie godzin na zmianę pracuje z łopatami przy kopaniu schronów i rowów, że Warszawa na gwałt przygotowuje się do obrony i nie myśli wcale o poddaniu się Niemcom, którzy podobno z trzech stron zbliżają się do stolicy. Opowiadała dalej o ciężkich nalotach bombowców niemieckich na miasto, które od pierwszego dnia wojny już trwają i o strąconych przez naszą artylerię przeciwlotniczą kilkudziesięciu wielkich samolotach nieprzyjacielskich.

Szybko mijały godziny. Przez cały czas, duże 5-cio lampowe radio na biurku stojące, nadawało poranne wiadomości, a w przerwach urozmaicało

audycje poważną narodową muzyką, nadawaną z płyt.

Śniadanie miało się ku końcowi, gdy w tem rozległ się przeraźliwy, donośny głos z aparatu radiowego:

— Hallo! Hallo! ogłaszamy alarm lotniczy na miasto stołeczne Warszawę.

W powietrzu, nad wysokimi domami popłynął głośny świst syreny.

— Mamusiu ! wujku ! idziemy do schronu — zakomenderowała Zosia i sama pośpiesznie zaczęła się ubierać.

Przez radio jeszcze raz i drugi padają słowa rozkazu „ludność cywilna schodzi do schronów. Ruch na ulicach ustaje."

— Mamusiu — spieszmy się, odzywa się zdenerwowana już nieco moja kuzynka.

Za chwilę dodaje: — Słyszycie dalekie strzały ?

Mieszkańcy z wyższych i niższych pięter spiesznie zamykali drzwi i wszyscy zdążali do schronu.

Pierwszy raz i ja znalazłem się w schronie warszawskim. Zeszliśmy po schodach do głębokiej, obszernej piwnicy pod frontową, trzypiętrową kamienicą. Wielu przechodniów z ulicy, którzy skryli się do bramy, też stojąc w ogonku, schodzić zaczęli do schronu. Niektóre niewiasty, zwłaszcza młodsze, zdenerwowane ogromnie, dostawały spazmów. Obszerny schron rzeczywiście dobrze był przygotowany. Podwójne wielkie drzwi, obite jakimś grubem suknem. Wokoło ścian ławki i krzesła, światło elektryczne, a nawet głośnik radiowy zawieszony na ścianie. Przykrego nad wyraz wra-

Przekrojona bombą trzypiętrowa kamienica.

żenia doznałem, kiedy znalazłem się w tym tłumie osób zdenerwowanych, rozpłakanych i narzekających. Od czasu do czasu rozlegały się jakieś głuche detonacje. Nawet w pewnym momencie zdawało mi się, jakoby grube ściany fundamentu zatrzęsły się mocno.

Jezus Maria, gdyby tak runął teraz dom na nas wszystkich — pomyślałem sobie. Oby jak najprędzej ten nalot się skończył. W tym z głośnika radiowego rozległ się głos.

— Hallo! Hallo! U. 27 przeszedł...

Ludziska odetchnęli. Z szumem i gwarem tłumnie opuszczać zaczęli podziemia kamienicy.

Koło godziny 10-tej z rana, ponieważ tramwaje już nieregularnie chodziły, jadę rowerem przez ulice Warszawy. Najpierw chcę wstąpić do Kurii Biskupiej, a następnie zajechać do cytadeli, by spotkać się ze swoim kuzynem Zygmuntem. Mam dać mu pewne polecenia od rodziny i doręczyć kilkadziesiąt złotych.

Jakże odmienne było oblicze Warszawy tego dnia. Na ulicach przyspieszony i jakiś gorączkowy ruch automobilowy. Z rzadka tylko, gdzieniegdzie pokazywał się tramwaj. Policji już nigdzie nie było. Ludzie zdenerwowani. Wszyscy gdzieś się spieszą. Przy kościołach całe tłumy narodu. Jedni wchodzą, drudzy wychodzą. Na większych placach i skwerach wykopane widnieją zygzakowate rowy, niektóre już deskami i zielenią przykryte. Niezwykle ożywiony ruch widać w kierunku na Pragę. Wiele osób „pół cywilnych, pół wojskowych" kręci się po mieście. Brzegiem ulic co chwila

przechodzą niewielkie oddziały świeżo uformowane z rezerwistów. Pod gmachami rządowymi, bankami i urzędami pocztowymi stoją długie ogonki wyczekujących. Istotnie w powietrzu aż pachnie wojną.

Na rogu Miodowej i Długiej — Kuria polowa zamknięta. Otwiera mi woźny i oświadcza, że już żadnego urzędowania od trzech dni niema.

— A może ktoś zastępuje kanclerza Kurii? — pytam się.

— Owszem — jest tu jakiś młody ksiądz przyjezdny, który ma klucze od Kurii, może też i otrzymał pewne uprawnienia od księdza biskupa.

Poprosiłem woźnego, by mnie zameldował. Za chwilę zeszedł po schodach może 45-letni wysoki, szczupły ksiądz. Okazało się, że nie wie, gdzie się Kuria polowa przeniosła, prawdopodobnie do Lublina. Widział się jeszcze w ostatnim dniu z kanclerzem, ale żadnych uprawnień do załatwiania spraw służbowych nie ma. Sam jest przyjezdnym i ma tylko zezwolenie na mieszkanie w gmachu.

— Skądże dobrodziej przybył do Warszawy? — pytam się.

— Z Katowic, księże kapelanie. Wyjechłem z domu własnym autem, w ostatniej chwili przed wkroczeniem Niemców. Jako uczestnik powstania na Górnym Śląsku musiałem przed wrogiem uciekać i proszę sobie wyobrazić jestem w Jędrzejowie pod Kielcami, budzę się rano, a tu mi mówią, że zmotoryzowane oddziały niemieckie stoją już pod miastem. Wyskoczyłem na ulicę. Widziałem tylko jak niemiecki wielki wóz opancerzony jeden i drugi

przemknął przez rynek. Nie było czasu nawet pomyśleć o własnym samochodzie. Zaledwie zdążyłem chwycić brewiarz, czapkę i biegiem pędzę przez pola do lasu. I tak od samego Jędrzejowa aż do Warszawy szedłem pieszo. Tu sobie powiedziałem, że mam już dosyć. Nie ruszam się z Warszawy nigdzie na krok, choćby mnie nawet nożami krajali, nie mam już ani zdrowia, ani sił, ani nerwów. Niech się dzieje wola Boża. Księdzu kapelanowi radzę chyba do Lublina jechać, bo albo tam, albo we Lwowie napewno będzie urzędował ksiądz biskup polowy. Tylko, czy to wszystko nie za późno. Czy, aby Polska, jak widzimy, tak nieprzygotowana do dzisiejszej wojny da sobie radę i czy potrafi się przeciwstawić tym tysiącom tanków i bombowców niemieckich. Jestem pewny, że i Warszawa nie będzie w stanie sama się obronić przed tą inwazją pruską.

Podniecony już trochę pożegnałem księdza z Katowic i pędzę rowerem do cytadeli. Ruch wielki, samochodami i furami wywożą na gwałt ze wszystkich magazynów broń, żywność, mundury. Żołnierzy wszędzie pełno. Wszyscy co dopiero umundurowani. Przy otwartym wielkim magazynie wydają karabiny i naboje. Na prędce formują się kompanie, które natychmiast odchodzą w stronę miasta. Odnaleźć swego kuzyna w tym rozgardiaszu, jaki panował w cytadeli, było absolutnie niemożliwe.

Zapytam się — myślę sobie — jeszcze tego oficera, który nadchodzi.

— Panie poruczniku w jaki sposób mógłbym się dowiedzieć, gdzie może się znajdować krewny mój

Wacław Z..., który jako ochotnik warszawski wczoraj zapisał się do wojska.

— Wszyscy młodzi ludzie warszawiacy, — informuje mnie porucznik — począwszy od wczoraj wcieleni zostali do Legii Akademickiej, ale pułk ten świeżo sformowany, gotów jest do wymarszu i stoi na Pradze w koszarach 36 pp. przy ul. 11 Listopada.

Zameldowałem się zpowrotem u krewnych na Puławskiej. Po krótkiej naradzie postanowiłem po obiedzie dojechać rowerem jeszcze na Pragę. Może jednak spotkam gdzieś swojego bratanka. A może nowoutworzony pułk warszawski nie ma przydzielonego jeszcze kapelana, to po przyjęciu mnie do pułku, jako ochotnika, razem pomaszerowalibyśmy na front. Z krewnymi na Puławskiej pożegnałem się na wszelki wypadek, bo nie wiedziałem co może stać się ze mną.

Zaledwie przejechałem most Poniatowskiego, znów alarm lotniczy. Odezwały się syreny i długo przeraźliwie wyły. Ulice opustoszały, tylko samochody z jeszcze większą szybkością pędziły w stronę dworca wschodniego. Gdzieś za miastem już grzmią i prażą nasze działa przeciw-lotnicze. Zatrzymuje mnie jakiś pan z białą opaską na ramieniu.

— Książe dobrodzieju! proszę do bramy, nalot już bliski. —

W bramie już gromada ludzi. Kobiety, jak zwykle, pierwsze zaczęły się denerwować. Już słychać gdzieś nad dachem samolot jeden, drugi. Nagle straszny wybuch bomby — wydawało się, że

w pobliżu gdzieś padła, aż szyby dźwięknły, aż w bramie coś trzasło.

— Jezus Maria! zginiemy tu wszyscy — jakaś ładnie ubrana panienka krzyknęła na głos.

— Proszę się uspokoić, grubym głosem odzywa się pan z opaską na ramieniu. Nic nam nie pomoże zdenerwowanie.

Jeszcze słychać warkot, jeszcze działa strzelają, jeszcze gdzieś, ale już dalej pada kilka bomb. Za chwilę znów przeciągły gwizd syreny daje znać, że nalot się skończył.

Ulica na nowo zaroiła się od samochodów, fur, ludzi...

W koszarach przy ulicy 11-go Listopada nic się nie mogłem dowiedzieć. Ktoś mi tylko powiedział, że wczoraj sformowany pułk Legii Akademickiej napewno jest już dziś na froncie. Wyjechał pod Radzymin, dokąd już się zbliżały po zajęciu Wyszkowa i Węgrowa zmotoryzowane oddziały niemieckie. Dowiaduję się również, że jeszcze dziś wał kolejowy od strony Marek przy ulicy Radzymińskiej i Kawenczyńskiej ma być obsadzony.

Pomyślałem sobie, że jest źle — zupełnie źle. Podjeżdżam do dworca wschodniego. Tu już widzę barykady i świeże okopy. Na skrzyżowaniu dwóch ulic leży wywrócony tramwaj, opodal wały schronne z betonowych płyt chodnika. Między drzewami gromada ludzi jeszcze pracuje mozolnie przy kopaniu nowych rowów. Już prawie tylko samych wojskowych się widzi. Wśród nich wielu jest rannych, z obandażowaną ręką lub zawiązaną głową.

Widzę jak oddział artylerii ciężkiej wtacza do dużych narożnych okopów większego kalibru działa.

Bohaterska Warszawa zamienia się od strony Pragi w pierwszą twierdzę obronną.

ZAPÓŹNO

W sobotę dziewiątego września była godzina piąta popołudniu, kiedy zdecydowałem się nie wracać więcej za Wisłę do Warszawy. Skręciłem w ulicę Grochowską, by jaknajprędzej wydostać się za miasto na szosę lubelską. Droga była zawalona nieprzeliczonym tłumem i najrozmaitszymi samochodami, które bez końca pędziły w kierunku na Lublin. W pięknych limuzynach jechali różni dygnitarze cywilni i wojskowi, niektórzy z żonami, dziećmi, obstawieni walizami i kuframi. Jechało też mnóstwo dużych ciężarowych wozów wojskowych naładowanych żołnierzami, różnego rodzaju broni. Robiło to wrażenie, jakby wszyscy uciekali w popłochu przed zbliżającym się nieprzyjacielem. Przykry nad wyraz widok.

Przejechawszy stację Wawer, skręciłem na prawo do lasu, by odpocząć trochę i ochłonąć z przygnębiających wrażeń, wywiezionych dziś z Warszawy.

Zdaleka, jak na dłoni, na tle pogodnego nieba, w pięknym oświetleniu zachodzącego słońca, wyraźnie rysowały się sylwetki wysokich świątyń i domów stolicy.

Przed samym zachodem słońca w stronę miasta leciało jeszcze z różnych stron kilkanaście samo-

lotów, do których bez przestanku biła nasza artylerja. Słychać też było ciężkie detonacje i głuche wybuchy. Jeszcze jeden nalot bombowców niemieckich przeżywa dziś Warszawa.

Podchodzę do szosy, na której robi się coraz większy zator. Auta stanęły.

— Może ks. dobrodziej do Lublina, odzywa się jakiś uprzejmy niemłody jegomość, siedzący obok szofera w dużym ciężarowym wozie.

— Chętnie możemy zabrać, wóz idzie prawie pusty.

Korzystam oczywiście z propozycji i wsiadam bez namysłu razem z rowerem do obszernego wozu ciężarowego nakrytego płachtą.

Do Lublina jechałem chętnie. Wszak to miasto moich najmilszych wspomnień i przeżyć. To miasto moich studiów akademickich, z przed 15-tu przeszło lat. Tyle życzliwych i oddanych mi rodzin, tylu przyjaciół serdecznych mam w tym mieście. Ostatecznie, myślę sobie, jeżeli nawet nie uda mi się w żaden sposób dostać przydziału do wojska, to najspokojniej będę mógł przeczekać w Lublinie nawet całą zawieruchę obecnej wojny.

Długą nocną podróż z Warszawy do Lublina prawie całą przedrzemałem. Trzecią przecież już noc spędzam w podróży. Oczy zamykały się same. Pamiętam tylko dwa wrażenia z tej trasy. Około północy przebudziłem się. Auto stało w pobliżu jakiegoś przejazdu kolejowego. Noc była ciemna, ale prawie bezustanku szosę oświetlały jasne reflektory. Gdzieś zdala było słychać przelatujące samoloty i ciężkie odgłosy strzałów armatnich. Drugi raz

Pożar Okęcia po bombardowaniu
(Zdjęcie z odległości 4 klm.)

przebudziłem się już bliżej Lublina, gdy auto nasze zwolniło i przez dłuższy czas zupełnie powoli posuwało się naprzód. Szosa bowiem cała i głębokie rowy przydrożne zawalone były najrozmaitszymi wozami samochodowymi ; z tych niektóre były wywrócone. Stały się ofiarą nalotu niemieckiego albo też poprostu szoferom zabrakło benzyny.

Gdy zajechaliśmy do Lublina, było jeszcze ciemno. Wóz stanął na rogu Krakowskiego Przedmieścia przy hotelu Europejskim. Z zimna byłem cały skostniały. Przede wszystkim rozgrzać się. Poprosiłem na herbatę nieznajomego mi bliżej pana, który zaproponował mi przejazd samochodem, jak również i szofera, który doskonale wóz prowadził.

Weszliśmy do „Polonii", jedynie jeszcze otwartej o tak późnej porze przyzwoitej restauracji na rogu Kapucyńskiej. Rozgardiasz w lokalu okropny, a bufet zupełnie pusty. Setki przecież przejezdnych wojskowych przechodzi tędy od kilku dni. Dostaliśmy zaledwie, na specjalną moją interwencję, po szklance gorącej herbaty i jednym kieliszku koniaku.

Na sali było jeszcze kilku maruderów nocnych, trochę wojskowych i paru cywilnych, którzy głośno rozmawiali na temat ostatnich wypadków. Na środku sali przy większym stoliku i otwartej dużej butelce koniaku, siedziało w towarzystwie jakiegoś cywila dwóch lotników: major, wysoki, szczupły brunet o czarnych oczach i orlim nosie, z pierwszego wejrzenia, urodzony Włoch, Rumun albo Węgier, i porucznik młody dwudziestokilkuletni, typ czysto polski, o błękitnych oczach i owalnej twarzy.

Obaj mieli na mundurze dużo odznaczeń wojskowych, a wyżej znak lotnictwa polskiego, rozłożone skrzydła orle, zwieszające się na łańcuszku.

Czarny jak kruk, podpity nieco major na mój widok zaczął robić głośne i niesmaczne uwagi pod adresem księży, Kościoła, a nawet wiary. Kiedy przebrał w pewnej chwili miarkę, mówię do swoich towarzyszy, że zmuszony będę lokal opuścić. Wtem od stołu wstaje jego młodszy kompan, porucznik, który zdawał się być zupełnie trzeźwy, i uderzywszy z całym rozmachem ręką w stół krzyknął na cały głos:

— Wypraszam sobie panie majorze, by pan major, choć starszy odemnie, w mojej obecności pozwalał sobie na kpiny i obelgi, wymierzone przeciwko mojej wierze.

Następnie zaczął mówić jeszcze głośniej, ale już poprzez łzy:

— Jestem katolikiem wierzącym i pragnę nim być wszędzie i zawsze, nawet w tym lokalu. Nie pozwolę na obrazę mych uczuć katolickich. Świętość, którą mi matka moja na piersi zawiesiła, pragnę do śmierci nieskalaną zachować. Urodziłem się w wierze katolickiej i umierać w niej pragnę, a bluźnić w moim towarzystwie nikomu nie pozwolę.

Podszedł następnie do stolika i publicznie przepraszając mnie, mocno uścisnął mi dłoń. Major wkrótce wyszedł. Dłuższą chwilę spędziłem na poważnej i serdecznej rozmowie z miłym, bardzo młodym porucznikiem pochodzącym ze staropolskiej znanej rodziny. Pomiędzy innymi dowiedziałem się, że w latach gimnazjalnych, a później

akademickich był czynnym członkiem Sodalicji Mariańskiej.

Zrobiło się już dobrze widno, gdy nad uśpionymi jeszcze domami rozległ się poważny głos dzwonu kościelnego. To w pobliskim klasztorze OO. Kapucynów dzwoniono na Anioł Pański.

Wczesnym bardzo rankiem tego dnia, w niedzielę dziesiątego września, zapukałem do furty klasztornej jako przyjezdny, prosząc o przytułek. Brat furtian zaprowadził mnie do celi gościnnej.

Nareszcie teraz, myślę sobie, odpocznę dobrze po bardzo męczącej, bo prawie już tygodniowej wędrówce.

Przed południem przyjechało jeszcze z różnych stron kilku innych młodych kapelanów wojskowych. Wszystkie wolne cele były zajęte.

Po Mszy św. odwiedziłem starych znajomych. Postanowiłem zamieszkać na parę dni u przyjaciela Dr. Ul.. ., oficera rezerwy, starego kompana jeszcze z 1920 roku, z którym służyłem w 2 pułku ułanów Grochowskich. Bardzo serdecznie i gościnnie mnie przyjął. Po kolacji długo i mile gawędziliśmy, wspominając mocne niezatarte wrażenia wojskowe z przed 20-tu lat.

— Przypominacie sobie, doktorze, ten dwór staropolski pod Staszowem państwa Wys. . ., nasze wizyty ułańskie, przyjęcia.. Miłe to były czasy.

— Nie wiem co się też może dziać — wtrąca doktor — z tym najstarszym ładnym chłopcem — miał wówczas najwyżej dwanaście lat, Staś mu było na imię.

— Ciekawa to historia z tym Stasiem — odpowiadam. — Proszę sobie wyobrazić, jestem przed dwoma miesiącami w sąsiedniej parafii na odpuście. Na plebanii zakwaterował się dowódca i sztab pułku ułańskiego, który przybył z kresów wschodnich. Trzy szwadrony tego pułku stały również w mojej parafii. Sąsiad mój ks. proboszcz poprosił na obiad odpustowy wszystkich oficerów sztabowych. Naprzeciwko mnie obok pułkownika siedzi młody przystojny, szczupły porucznik adiutant dowódcy. Przypatruje mi się pilnie od początku. Podczas obiadu dowiedziała się brać oficerska, że i ja kiedyś byłem ułanem. Przy lampce wina, któryś ze śmielszych wesoło zaintonował ułańską piosenkę:

Na dnie szklanki wszystkie troski
Stawia drugi pułk Grochowski

I „rykło" to bractwo jakby na komendę śpiewając radośnie słowa drugiej strofki:

Lance do boju, szable w dłoń
A Hitlera goń, goń, goń....

Młody porucznik naprzeciwko siedzący coś sobie zaczął przypominać i wreszcie wpatrzony we mnie, odzywa się:

— Czy przypadkiem ks. kapelan nie służył kiedyś przed laty kilkunastu w 2 pułku ułanów w Staszowie i czy nie przyjeżdżał, jeszcze z innymi oficerami do majątku moich rodziców. Pamiętam, że matka moja z prawdziwą radością i bardzo serdecznie przyjmowała zawsze ułanów. Miałem wtedy może lat dwanaście.

— Właśnie, panie poruczniku, to ja byłem wów-

czas kapelanem 2 pułku i stąd też sobie dobrze pana przypominam — odpowiedziałem.

Od tej chwili, niegdyś mały Staś, a dziś już porucznik, blizko 30-letni mężczyzna, stał się moim serdecznym przyjacielem. Kilkakrotnie miałem też zaszczyt gościć go u siebie na plebanii.

— Ciekawe, co się też stać mogło z nim dalej, kapelanie?

— Biedni ci ułani, panie doktorze. Często rozmawiałem z nimi na temat obecnej wojny. Nieraz podkreślałem, choć wprawdzie jako laik, że wojna dzisiejsza z Niemcem, to nie będzie wojna z bolszewikami i kozakami. Na tanki, samochody pancerne i ciężkie bombowce, dziś już nie wystarczą ostre szable i lance ułańskie. Przez kilka miesięcy, obserwując ich zbliska, podziwiałem nieraz skąd tyle zapału, tyle brawury i pewności zwycięstwa było w tych ludziach.

W końcu sierpnia, na krótko przed wybuchem wojny, z wyostrzonymi jak brzytwy szablami, w kompletnym rynsztunku bojowym wymaszerowali.... Ludność okolicznych wiosek tłumnie żegnała ich kwiatami i serdecznymi łzami. Jechali dziarsko, z piosenką ułańską na ustach. Jeszcze raz odwiedziłem porucznika Stasia i innych znajomych oficerów. Sztab stał wówczas pod Wieluniem. Poszczególne szwadrony w pasie przygranicznym. Wkrótce mieli się oni pierwsi spotkać z ciężką zmotoryzowaną armią niemiecką. Od tej pory już żadnego z ułanów znajomych więcej nie widziałem. Żal mi naprawdę tych dzielnych i odważnych ludzi...

Koło godziny 10-tej wieczorem zadzwonił ktoś do drzwi. Wszedł jakiś kapitan, który dopiero co przybył z Warszawy. Przedstawił się gospodarzowi domu i pokazał karteczkę z magistratu. U doktora na kilka dni miał przydzieloną kwaterę. Za chwilę siedzieliśmy przy herbacie. Okazało się, że pan kapitan przyjechał wprost z Warszawy, wyznaczony przez Naczelne Dowództwo. Miał polecenie zorganizować w Lublinie natychmiast nowy dywizjon przeciwlotniczy.

— Panie kapitanie — odzywa się doktór — czy zdąży pan tak ważną jednostkę bojową w dzisiejszej wojnie w ostatnich chwilach stworzyć? Czy czasem nie jest to już za późno?

Gość wojskowy coś odpowiedział i widać było, że był optymistycznie nastawiony.

— Przecież widzimy, kapitanie szanowny, że przez Lublin — ciągnął dalej mój przyjaciel — już od kilku dni w niesłychanym popłochu przesuwa się fala uchodźcza. Wczoraj, czy przedwczoraj Rząd już i niektóre ministerstwa wyjechały z Warszawy i zatrzymały się tu u nas. Przecież naloty nieprzyjacielskie nękają nas tu w Lublinie od tygodnia. Dworzec kolejowy rozbity, większe fabryki poniszczone. Wytwórnia samolotów i lotnisko pod Lublinem zbombardowane. Setki już zabitych i rannych. Nie jestem jednym z tych, którzy sieją popłoch i łatwo ulegają panice, czego dowodem jest to, że trwam na stanowisku swoim i do ostatniej chwili postanowiłem nigdzie nie uciekać, ale dzisiaj w ogólnym popłochu i powszechnej panice, tworzyć naprędce dywizjon przeciwlotniczy

wydaje mi się coś, naprawdę już nie na czasie, za rzecz co najmniej mocno spóźnioną. Niestety, piękna myśl... ale za późno.

— Panie kapitanie — dodał jeszcze doktór — jutro albo jeszcze i dziś w nocy my wszyscy się znaleźć możemy pod gruzami. Czy Niemcy nie wiedzą przy tak doskonale działającym na ich korzyść szpiegostwie, że nasz rząd w Lublinie po wyjeździe z Warszawy zatrzymał się, i czy jutro, powiedzmy, nad miastem naszym nie ukaże się nowa eskadra bombowców? Czy z dniem jutrzejszym nie może popłynąć strumieniem znów świeża krew i łzy? Daj Boże, żeby się panu kapitanowi plany zamierzone udały, ale czy nie zapóźno zrozumiał i ocknął się nasz rząd?... Zapóźno pan przybył do nas...

Dochodziła 12-ta w nocy. Radio nadawało ostatnie komunikaty i wiadomości o wkroczeniu zmotoryzowanych oddziałów niemieckich do Łodzi, Kutna, Kielc i Radomia.

Ostatnia wiadomość tego dnia podana przez radio była:

„Warszawa postanowiła się bronić".

LUBLIN W PŁOMIENIACH

Nazajutrz miałem sporo spraw w mieście do załatwienia. Chciałem widzieć się z dziekanem wojskowym, być i w rejonowej Komendzie Uzupełnień, jak również zwiedzić świeżo otwarte biuro dla zaciągających się ochotników wojskowych zobaczyć się wreszcie z niektórymi swoimi znajomymi. Około godziny 9-tej rano znalazłem się na mieście. Tego dnia już wcześnie zaczęły ukazywać się samoloty niemieckie, które jednak krążyły tylko w okolicy miasta. Jedno czy dwa działa nasze i karabiny maszynowe dość celnie musiały strzelać, bo po odezwaniu się naszej obrony, samoloty wracały z powrotem.

Dochodziła godzina 11-ta przedpołudniem, gdy naraz z kilku fabryk zaryczały przeraźliwie syreny na alarm lotniczy. Za jakąś chwilę z kilku stron naleciało na miasto kilkanaście ciężkich maszyn niemieckich. Ludność cywilna szybko zaczęła się usuwać z ulic. Moc ludzi biegło do zygzakowatych wielkich rowów i schronów, wykopanych na placu przed gmachem Urzędu Wojewódzkiego. Niektórzy kryli się pod drzewa, inni uciekali do bram. Bezwłocznie ulice opustoszały. Całym pędem uciekały jeszcze tylko z Krakowskiego Przedmieścia auta i skręcały w boczne wąskie ulice. Odezwała się

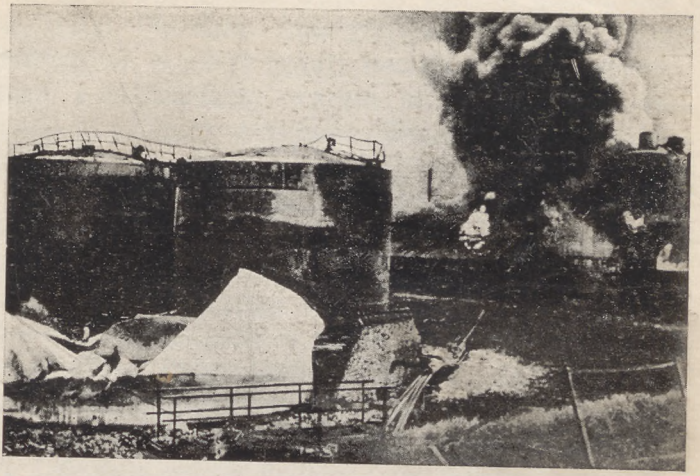

Zbiorniki nafty płoną.

Po skończonym barbarzyńskim nalocie.

i prawie bezustanku grała artyleria przeciwlotnicza. Bez przerwy, głośno trajkotał jeden i gdzieś dalej drugi karabin maszynowy. Słychać było dobrze, jak w górze pękały pociski. Wycie potężne, szum i ogłuszający warkot motorów stawał się coraz głośniejszy i bliższy. Ponad ulicami, nisko przeleciał samolot.

W ostatniej minucie wpadłem na Kapucyńskiej do domu dwupiętrowego. Zastałem w bramie już pełno ludzi. Ktoś z hukiem zatrzasnął za mną drzwi. Jeszcze nie zdążyłem się rozejrzeć i ochłonąć z pierwszego wrażenia, a tu rozległ się w powietrzu przerażliwy świst. Jękło coś strasznie i zahuczało jakby burza gwałtowna z wichrem w jednej sekundzie zerwała się i zaczęła przerażliwie ryczeć. Tu i ówdzie wśród domów i ulic bomby zaczynają wybuchać z hukiem głośniejszym od armatniego wystrzału. Czuję wyraźnie jak po każdym wybuchu ziemia trzęsie się pod nogami i drga, jak powietrzem wstrząsa łoskot każdej pękającej bomby.

Nim się zorjentowałem, w której stronie padają ciężkie najmniej „pięćset-kilówki", kilka nowych piorunów trzasło tuż gdzieś w sąsiedni dom. Przez niewielkie okno w bramie widać już kotłującą się chmurę dymu czarnego, buchającego z wyrwanych okien.

Huk ogłuszający, świst, wycie, trzask, wybuchy nie ustają, owszem potężnieją z każdą sekundą. Tylko patrzeć, jak bomba trzepnie w kamienicę w której stoję, jak się ściany w gruzy rozsypią.

Oto z domu naprzeciwko runął olbrzymi kawał muru. Wyleciało w powietrze kilka okien. Kupa

cegieł z futrynami zwaliła się na środek ulicy, o kilka zaledwie kroków od bramy gdzie stoję.

Czuć już w powietrzu spaleniznę i gryzący dym. Słychać głuche stękanie szarpanych i walących się domów, wrzask śmiertelny niewidzialnych ludzi i łomot wyrwanej ziemi.

Kanonada nie ustaje. Bomby wyją i huczą bez ustanku.

Kiedyż nareszcie to się skończy?...

Sekunda każda wydaje się długimi godzinami.

Czuję i słyszę, że znów nad naszym domem krąży kilka maszyn. No! chyba już teraz nas nie ominie. Zbiliśmy się wszyscy w kącie bramy w jedną masę. Jakaś kobieta i dziecko łapią mnie za rękę. Myślę sobie.. jeszcze sekunda, a znajdę się pod gruzami. Wyciągnąłem do góry ręce, jakbym głowę chciał osłonić przed ciosem śmiertelnym. Wtem błysk... i ogłuszający grzmot... nowa bomba trafiła w dom. Zakołysały się ściany, z trzaskiem odpada tynk. Brama z hukiem otwarła się na ulicę. Dźwiękły wylatujące z okien szyby. Zrobiło się momentalnie ciemno. Gruz i popiół posypał się na głowę. Brak powietrza na oddech. Ledwo mogę ustać w dymie i w kurzu... „O Matko Boska!" — rozległ się przeraźliwy okrzyk jakiejś kobiety leżącej u moich nóg przysypanej czerwonym gruzem. Zdaje mi się, że i ja zaczynam tracić przytomność. W tym momencie jakby ściana cała, czy sufit rozsypał się i runął na mnie. Schwyciłem coś i trzymam w ręku nad głową. Wybiegam z bramy na podwórko. Patrzę, a w rękach nad głową ściskam mocno ramę okienną, która z gruzem zwaliła

się na mnie. Czuję też ból z lewej strony na głowie, dotykam ręką — krwi nie widać. Na czarnym kapeluszu zauważam tylko małe opalone miejsce, wgniecione przez jakiś rozżarzony ułamek metalowy.

Nareszcie warkot samolotów słabnie i cichnie coraz bardziej. Raz po raz rozlegają się jeszcze działa przeciwlotnicze. Bombowce niszczycielskie odleciały.

W bramie pod gruzami rozlegały się jęki. Przy pomocy jakiegoś mężczyzny wyciągnąłem kilka przysypanych niewiast. Wszystkie były czarne od popiołu i sadzy, tylko bladymi osłupiałymi oczami rozglądały się półprzytomne wokoło, coś z cicha mamrocząc. Dzięki Bogu zabitych nie było wśród nas. Przeważnie byli tylko ranni. Niektóre miały ślady krwi na wargach, twarzy albo na głowie. Ciężej rannym zrobiłem pierwszy opatrunek, na miejscu, innym zaś poleciłem, by udały się do pobliskiego szpitala.

Sam wybiegłem na ulicę, też z zakrwawioną ręką, skaleczoną odłamkiem szkła. Ulica Kapucyńska była pełna dymu. Płonęło naraz kilka domów. W ogniu stał również, tuż przy kościele OO. Kapucynów hotel Viktoria. Na jezdni dopalały się dwa samochody w rzędzie stojące.

Na Krakowskim Przedmieściu również płonęły domy w kilku miejscach. Dym i gryzący czad wije się po ulicy. Poszarpane chodniki całe zawalone gruzami i resztkami różnych sprzętów. Tu i ówdzie na środku ulicy widnieją kupy cegieł wraz z potrzas-

kanymi oknami i połamanymi futrynami. Pełno wszędzie szkła potłuczonego.

Z palących się domów rozchodził się swąd spalenizny i bił żar olbrzymich płomieni, które kotłowały straszliwie i buchały z powyrywanych okien i drzwi. Z trzaskiem i łoskotem waliły się płomieniem objęte dachy.

Ponad palącym się, w gruzach rozsypanym Lublinem szedł smutny powiew trwogi śmiertelnej.

Po chwili na pustych ulicach zaczęli się pokazywać ludzie cywilni i wojskowi. Chcą ratować co się jeszcze da. Przy furcie klasztornej obok kościoła OO. Kapucynów stoi wystraszony i blady Braciszek — trzyma w ręku apteczkę podręczną. Chwytam od niego dość dużą skrzyneczkę z wymalowanym czerwonym krzyżem.

W pobliżu ktoś krzyknął na głos: „Ratunku! na pomoc, ludzie!... rannych pełno w tym obok rozbitym i palącym się domu. Księże Kapelanie w tym sklepie strzaskanym, dwie kobiety śmiertelnie ranne!..."

Wpadam przez wyrwane drzwi. Widzę, jakaś mała cukiernia. Na podłodze leży w poszarpanym na strzępy ubraniu niewiasta. Ręce i nogi ma już kurczowo powykrzywiane. Jęczy... twarz nabrzmiała, czarna, zakrwawiona cała. Nachylam się. Widzę na złotym łańcuszku medaljonik Matki Bożej. Poznała mnie jeszcze.

— Proszę o spowiedź Ojcze Duchowny... czuję, że umieram...

Nachyliłem się i za chwilę udzieliłem rozgrze-

szenia. Żołnierzom kazałem zabrać ranną do szpitala, lub do najbliższej stacji opatrunkowej.

Gospodarz palącego się obok domu, mocno zdenerwowany, odzywa się do mnie.

— Księże Dobrodzieju! Tam w głębi, przy wejściu na klatkę schodową, jeszcze jest druga młodsza niewiasta, zdaje mi się, bufetowa z cukierni.

Biegnę natychmiast z powrotem. Rzeczywiście, na stopniu w korytarzu siedzi cała zakrwawiona i czarna na twarzy młoda niewiasta. Bluzka w strzępy porwana. Z jękiem wymawiane słyszę tylko ciche urywane wyrazy: O Boże !.. Jezu!...

— Czy pani jest katoliczką? — odzywam się — chętnie panią wyspowiadam i udzielę rozgrzeszenia.

Ciężko ranna cała zalana krwią, spojrzała na mnie.

— O Boże!... Co ja widzę... Ksiądz Leon... Skąd się tu Ksiądz wziął — odzywa się drżącym głosem.

— Chyba Pan Bóg Księdza sprowadził.

Stanąłem jak wryty. Nie poznaję.

— Skądże pani mnie zna?

— Nie poznaje mnie Ksiądz!? Jestem Marysia Dybkówa.

— Mamusia i ja z Lucią zawsze tak mile wspominamy Księdza.

Boże! Toć przecież jedna z najżyczliwszych mi rodzin w Lublinie — przypomniałem sobie.

— Niech mnie Ksiądz Leon nie opuszcza. Bomba wybuchła... byłam wtedy w sklepie... Do szpitala chciałabym się dostać, do doktora... bo czuję się coraz słabsza.

— Panno Marysiu! wszystko zrobię, co tylko będę mógł, niech Pani będzie spokojna. Wybiegam na ulicę. Stoi auto Czerwonego Krzyża.

— Nosze dawajcie — odzywam się.

— Niestety, w tej chwili zabrane — ktoś mi odpowiedział.

Biorę czterech żołnierzy.

— Pomożecie mi żołnierzyki. Ciężko ranną zaniesiemy do szpitala. Chociaż noszy niema zaradzimy inaczej. Bierzcie te drzwi leżące na drodze.

Za kilka minut Marysia Dybkówa była już na stole operacyjnym w pobliskim szpitalu św. Józefa.

Podczas opatrunku badanie lekarskie wykazało — stan ciężki.

— Dobrze, że się Ksiądz Kapelan ze swoją pacjentką pospieszył, odzywa się lekarz. Proszę popatrzeć ile już nowych ofiar mamy.

Rzeczywiście począwszy od drzwi szpitalnych na korytarz wiodących, stał długi szereg rannych mężczyzn, kobiet i dzieci. Niektórych już nieprzytomnych i napół żywych wnoszono na noszach wprost na salę ogólną.

Za chwilę zrobił się na korytarzu ścisk i w niespełna pół godziny wszystkie wolne w szpitalu łóżka były zajęte.

Wielu prosiło mnie o spowiedź. Zauważyłem jednego ze szkół lubelskich ucznia, może osiemnastoletniego chłopca. Sam jeszcze, biedak, o własnych siłach podszedł do mnie i prosił, bym go wyspowiadał, bo jest bardzo słaby. Ranny był w głowę i kręgosłup. Czekał w kolejce na opatrunek. Zaled-

wie wymówiłem słowa rozgrzeszenia, wstał jeszcze sam, klęczał bowiem przy spowiedzi, zaczął się chwiać i tylko zdążył z trudem wymówić: „Ojcze Duchowny, już umieram... dziękuję serdecznie za rozgrzeszenie..." Upadł mi na ręce. Położyłem go przy pomocy jakiegoś posługacza szpitalnego na łóżku i w mojej obecności życie zakończył.

W godzinę może po opatrunku i nałożeniu bandaża mej znajomej z przed piętnastu lat, Marysi, odwiedziłem ją jeszcze raz na sali. Już nie była sama. Z jednej strony stała przy niej matka zapłakana, a z drugiej — siostra starsza Lucia z mężem i małym czteroletnim synkiem. Strapione biedne matczysko, poprzez serdeczne łzy dziękowała mi bardzo za pomoc udzieloną córce.

Przed moim odejściem, Marysia, z lekkim, może wymuszonym w tej chwili, pięknym i wdzięcznym uśmiechem, zcicha szeptała: — Bóg zapłać Księdzu Leonowi za dobrą i serdeczną opiekę... myślałam, że już nigdy Księdza w życiu nie zobaczę.. Chyba Pan Bóg dobry zesłał Księdza dziś do Lublina. Dziękuję serdecznie. Wszystkiego dobrego życzę. Prawdopodobnie Ksiądz, jako były kapelan, na wojnę idzie. Szczęść Boże...

Uścisnąłem jej dłoń. Nie mogłem nic przemówić. Wykształsiłem tylko jedno słowo „Do widzenia..."

Tak byłem już tego dnia nerwowo nadszarpnięty, że dosyć miałem wszystkiego i tej wojny dziwnej a strasznej, i kapelanii i podróży, a właściwie mówiąc gonitwy nie wiadomo za czym.

Idę na swoją kwaterę do Doktora. Po drodze myślę sobie: zostać czy jechać dalej? A nuż przyj-

dą Niemcy i zajmą Lublin. Dostać się do niewoli lub zginąć haniebnie z rąk odwiecznego wroga i podłego grabieżcy... nie! Może się jeszcze przecież przydam Polsce do czegoś... ale dokąd teraz jechać?... Przypomniało mi się powiedzenie któregoś z oficerów, że ostatnią linią obronną mają być Kresy wschodnie, i dlatego to koncentracja wojsk odbywa się już za Bugiem. A więc Kresy. Wszyscy wojskowi przez Lublin też jadą w kierunku na Lwów. Prawda — we Lwowie mam swego przyjaciela i kolegę, adjutanta generała, dowódcy O. K. VI., kapitana Kazika Cz... Przecież ten mi napewno pomoże w uzyskaniu jakiegoś przydziału wojskowego. Zresztą w razie dłuższego zatrzymania się we Lwowie będę miał zapewnione mieszkanie. Postanowiłem ostatecznie jeszcze dziś wyjechać do Lwowa.

Po pożegnaniu się z zacną i przemiłą rodziną mego przyjaciela lekarza Ul..., byłem już o godzinie piątej popołudniu za miastem.

Szosą w kierunku na Kraśnik, Tomaszów Lubelski i Lwów pędziło moc najrozmaitszych samochodów. Szli też małymi grupkami żołnierze, przeważnie bez karabinów.

Na niewielkim wzgórku poza miastem zsiadłem z roweru. Obejrzałem się. Cały Lublin był jeszcze w płomieniach.

Uratowany majątek.

W nieznaną dal.

ŻELAZNY GENERAŁ

Przez dłuższą chwilę patrzyłem z dala na palący się Lublin. Na szosie, nie daleko przedemną zatrzymał się przy rowie duży ciężarowy wóz wojskowy. Szofer poprawiał coś w motorze. Na wozie siedział jakiś kapitan oraz trzy panie. Okazało się później, że były to urzędniczki wojskowe. Dojeżdżając do stojącego samochodu, już zdaleka dosłyszałem taką rozmowę.

— Patrzcie! Jakiś ksiądz biedaczyna też ucieka. Zapytam się dokąd jedzie: może ksiądz proboszcz do Lwowa?

— Tak — mówię — chciałem się jakimś cudem dostać.

Przystanąłem i zeszedłem z roweru.

— A możebyście państwo, — dodałem za chwilę – mieli ochotę mnie zabrać po drodze, bardzo byłbym wdzięczny.

— Panie kapitanie, zabierzmy księżulka, miejsce się znajdzie. Kiedyżby ksiądz proboszcz zajechał na rowerze tyle kilometrów!

Jakoś ta prośba, widziałem, nie bardzo kapitanowi trafiała do przekonania.

— Żeby to ksiądz kapelan choć roweru nie miał, odzywa się, no ale, jeżeli się jakoś pomieścicie, to proszę wsiadać.

Z tą chwilą miałem już zapewniony bezpłatny i względnie szybki przejazd aż do Lwowa. Choć ciężarowy, niewygodny, ale zawsze to samochód — pomyślałem sobie.

Dosyć pocieszna była to jazda. Okazało się w rozmowie z panem kapitanem, że jest on oficerem rezerwy z Warszawy, przydzielonym do sztabu, który jedzie do Lwowa. Sztab na kilku innych wozach pojechał już naprzód. Sam ten kapitan, którego nazwiska dziś nie pamiętam, nie był widocznie nigdy oficerem liniowym, bo takiego tchórza jak żyję nie widziałem. Śmiałem się nieraz na tym wozie wraz z szoferem aż do rozpuku. Przez cały czas, póki się nie ściemniło, pan kapitan zajmował się tylko wypatrywaniem samolotów niemieckich. Zawsze on tam gdzieś pierwszy potrafił coś podpatrzeć, wyśledzić, choć jeszcze nikt nic na niebie nie widział. No i oczywiście odrazu „halt" — alarm! Samochód momentalnie się zatrzymywał i pan kapitan skok z wozu na ziemię i w pole. Za chwilę leży już w kartoflach lub stoi pod byle najcieńszym drzewem. Niewiasty zaś, wystraszone, za nim co sił. Oczywiście niewprawne w skakaniu z tak wysokiego samochodu, robiąc to „salto mortale" przewracały się sromotnie i nakrywały się nogami, ale z tego sobie nic nie robiąc, natychmiast wstawały i biegiem za kapitanem w kartofle. Nawiasem trzeba dodać, że jedna z pań urzędniczek miała ze sobą pieska na smyczy, który, jak zauważyłem, przez to widocznie w drodze od samej Warszawy częste skakanie doszedł rzeczywiście do takiej wprawy, że cza-

sem był jeszcze pierwszy niż kapitan w kartoflach. Po przelocie samolotów, nasz „bohater" znów ostatni, rozglądając się wokoło po niebie, wsiadał do auta, zapaliwszy przed tym papierosa, a po tem już poważnie dodawał:

— Bo to widzi ksiądz kapelan, zawsze w życiu trzeba być ostrożnym. Ja już wiele na świecie widziałem i najmocniej jestem przekonany, że strzeżonego zawsze Pan Bóg strzeże.

Za kapitanem wdrapywały się z niemałą trudnością, z powodu wąskich sukien, na samochód rozradowane i śmiejące się niewiasty. Wreszcie na końcu wciągaliśmy do góry małego kundla i auto ruszało dalej.

Przystanków takich przez cały czas, dopóki się nie ściemniło dobrze, było kilka.

Niektóre samoloty bardzo nisko lecące miały znaki polskie. Żadnego bombardowania po drodze nie było.

Do Lwowa jechaliśmy calusieńką noc. Większe czy mniejsze miasteczka i wioski, przez które przejeżdżaliśmy były w większości zbombardowane i popalone. Niektóre chaty przydrożne jeszcze się dopalały.

Zaledwie wjechaliśmy około 8-mej zrana do miasta, już na wstępie głośne syreny obwieszczają alarm lotniczy. Auto nasze szybko wjechało w boczną ulicę. Kapitan pierwszy wynalazł gdzieś, w jakimś ogrodzie na wzgórzu, duży schron, do którego ludność z pobliskich domów też pośpiesznie schodziła się. Trzy bombowce niemieckie zaczęły krążyć nad miastem, ale poczuwszy widocznie

celne strzały naszych zenitówek, szybko odlatywały z powrotem, rzuciwszy tylko dwie bomby na jakieś budynki w śródmieściu.

Po nalocie pożegnałem się z panem i trzema urzędniczkami, które odjechały za chwilę dalej ze Lwowa w kierunku na Tarnopol, bo jak kapitan zaznaczył, tam ma się odbyć koncentracja głównych sił wojskowych.

Lwów dręczony i nękany przez naloty niemieckie od tygodnia, robił przygnębiające wrażenie. Sklepy i urzędy pozamykane. Na ulicach ruch bardzo mały. Stacja kolejowa zniszczona, a wielkie zabudowania firmy Baczewski stały jeszcze w ogniu. Kościoły niektóre uszkodzone, domów kilka zburzonych. Ofiar, jak się później dowiedziałem, wśród cywilnej ludności było już sporo.

Niedaleko tego miejsca, gdzie stało auto, którym przyjechałem, znajdował się klasztor OO. Franciszkanów. Tam zapukałem do furty. Przemiły O. Gwardian serdecznie i bardzo gościnnie mnie przyjął i ofiarował mi chętnie mieszkanie z utrzymaniem na czas mego pobytu we Lwowie. Biedaczek, choć był bardzo opanowany i zdecydowany na wszystko, to jednak strasznie ubolewał i odczuwał mocno ten ogrom nieszczęścia, który walił się na Polskę. Mimo to postanowił nie opuszczać swej placówki i nigdzie nie uciekać.

— Mój Boże — często powtarzał — co to będzie, co to będzie! Przecież my, Polacy, w żaden sposób nie damy rady samolotom i zmotoryzowanym wojskom niemieckim. Gdzież ta obiecana pomoc naszych aliantów. Ileż już ofiar niewinnych mamy

wśród cywilnej ludności, choćby w naszym jednym Lwowie. Wczoraj np. bomba zabiła nam 15-letniego chłopca, bardzo miłego, zdolnego i pobożnego młodzieńca — naszego ministranta. Był jedynakiem w domu. Można sobie wyobrazić rozpacz rodziców. A takich przecież ofiar tej barbarzyńskiej wojny dzisiejszej jest setki i tysiące w całej Polsce. O Boże mój, Boże! co to będzie z nami i z naszą Ojczyzną. Teraz dopiero widzimy, że do wojny wcale przygotowani nie byliśmy. Oj za mało braliśmy pod uwagę własne siły, a za wiele liczyliśmy na pomoc innych. I tu nas spotkał zawód i to wielkie nieszczęście.

— Może, Ojcze Gwardianie, jeszcze za wcześnie tak rozpaczliwie myśleć o przegranej wojnie i o upadku naszej Ojczyzny. Przecież, jak wiadomo nasz żołnierz bardzo dzielnie na froncie się spisuje. Mamy także i dowódców zdolnych i dzielnych jak Sikorski, Sosnkowski, Bortnowski, a choćby i dowódca tutejszego O. K. generał Langner.

— Ano tak, żeby to wszyscy, na wyższych stanowiskach byli do nich podobni, to chyba i ta wojna dzisiejsza inaczej by wyglądała Nie byłoby przede wszystkim tego popłochu i ucieczki. Słyszałem i ja od oficerów, że dowódca nasz nie tylko nie myśli opuszczać swego stanowiska, ale bohaterskiego Lwowa chce bronić do ostatka. Bardzo ma być z niego odważny żołnierz i niezmiernie dobry, szlachetny człowiek, choć biedaczek zdrowia tęgiego nie ma. Daj Boże, daj Boże, żeby to dla nas na lepsze się obróciło,

ale przeczuwam coś nie dobrego, bo Niemcy będą nas chcieli zniszczyć do cna.

Zaledwie skończył mówić poczciwy i zacny ojciec gwardian, a w tym syreny odezwały się znów na mieście.

— Macie, nowy nalot, odzywa się gwardian, nowe bombardowanie miasta, mój Boże, chyba już czwarte z kolei dzisiaj. Żeby choć nasz kościół ominęło. Z okolicznych domów w pierwszym rzędzie kobiety z dziećmi pędem biegły do klasztoru, by pod osłoną grubych, starożytnych murów znaleźć ochronę przed bombami. Wszystkie tuliły się do gwardiana, który jak ojciec najlepszy, w czasie strzelaniny i cięższej kanonady pocieszał i uspakajał obecnych, albo z pobożnością brał w palce grube paciorki różańca zawieszonego na białym pasku i modlił się żarliwie.

Następnego dnia w godzinach przedpołudniowych zaszedłem do DOK., by zobaczyć się z adiutantem, przyjacielem moim Kazikiem Cz... i zaczerpnąć języka.

Ruch w adiutanturze ogromny. Co chwila telefon. Interesantów moc. Od generałów, pułkowników i niższych szarż oficerskich aż się roi w gmachu. Wszyscy meldują się do dowódcy OK. Niestrudzony i niewyczerpany generał każdego po kolei załatwia.

— Wiesz, Leon — mówi do mnie Kazik — ze „starym“ swoim trzecią już noc się nie rozbieram i nie śpię, tylko czy tak długo jeszcze dędę mógł... Taki ruch, jak dzisiaj, trwa już od tygodnia.

Rozmowę naszą przerwał ostry gwizd syren. Alarm lotniczy...

— Zejdziemy chyba do schronu, odzywam się.

— Nie, dziecko, tego mi robić nie wolno, szef mój nigdy nie przerywa pracy, choćby w czasie największych nalotów. Nieraz mury drżą, szyby dzwonią lub pękają, ale praca u nas nie ustaje. Owszem, podczas pierwszych nalotów, kiedyś zaproponowałem panu generałowi zejście do schronu. Krótko odpowiedział: „jak trafi bomba, to i schron nie pomoże". Kiedyś podczas nalotów bomby pękały obok, otworzył sobie spokojnie okno i obojętnie obserwował samoloty bombardujące. Znasz przecież generała jeszcze z Łodzi: dobry, ale twardy, nieugięty i zawsze odważny.

— A wieczorem dziś, Kazik, nie moglibyśmy się gdzieś spotkać? — wtrącam przy końcu.

— Niestety, skoro tylko się ściemni, towarzyszyć muszę generałowi, który autem objeżdża codziennie pierwsze placówki na linii bojowej, bo wiesz przecież, że Niemcy zbliżają się pod Lwów. Kontakt z generałem Sosnkowskim mamy ciągle. Miasta generał nasz Niemcom nie odda.

W mojej kapelańskiej sprawie radził mi udać się do dziekana wojskowego, który jeszcze urzęduje we Lwowie, a gdyby się nie dało nic zrobić, to otrzymam pismo urzędowe z DOK. VI. polecające mnie władzom wojskowym, jako kapelana powołanego z rezerwy.

Rozstałem się z adiutantem w chwili, gdy na mieście okropnie huczały bomby. Na schodach i w bramie nie było prawie nikogo z wojskowych.

Niektórzy jeszcze pośpiesznie schodzili do schronu. Tylko przy biurku spokojnie siedzi, nie przerywając swej pracy, generał, o którym tak ładnie powiedział jego adiutant: twardy nieugięty i zawsze odważny.

Takim też został i w mojej pamięci pan generał Langner jeszcze z czasów jego urzędowania w Łodzi. Jako typ szlachetnego Polaka, patrioty, o wybitnych zasługach dla Polski, zawsze interes Ojczyzny i Narodu potrafił stawiać wyżej ponad system czy partie, nawet przy rządzie stojące. Umiłowanie Ojczyzny ponad wszystko, cicha, mozolna, twarda i ofiarna praca dla niej — oto wybitne cechy, których każdy u tego człowieka musiał się dopatrzeć, jeżeli się z nim kiedykolwiek zetknął. Był bezkompromisowym i bezlitosnym w stosunku do siebie i do podwładnych sobie. Na swoim stanowisku, pomimo słabego zdrowia, był człowiekiem jak mocarz silnym.

Prawdziwie nieugięty, żelazny generał...

Działo XI Dyonu na stanowisku bojowym.

NA KRESACH POLSKI

W chwili gdy wyjeżdżałem ze Lwowa, bohaterski gród przygotowywał się do obrony. Z każdym dniem zamieniał się w coraz silniejszą twierdzę. Na rogatkach głównych ulic wojsko przy pomocy cywilnej ludności od tygodnia już kopie szańce. Pod miastem szybko rosną wały obronne. Im silniejsze powstają umocnienia, tym większą widać zaciętość obrońców Lwiego Grodu. Tak łatwo chyba swego miasta wrogom nie oddadzą.

Któregoś wieczoru odzywa się Dowódca O. K. Lwów, generał Langner, podczas wizytacji pierwszych obsadzonych już linii obronnych na Łyczakowie:

— Nie wolno panu pod żadnym pozorem jako oficerowi opuścić barykady!

— Rozkaz, panie Generale — brzmiała odpowiedź znanego mi dobrze kapitana rezerwisty J. Czuryja. Wytrwał do końca.

Tymczasem zmotoryzowane dywizje niemieckie, którym dobrze daje się we znaki najdzielniejszy nasz generał Sosnkowski i pułkownik Maczek, walą całą potęgą od strony Przemyśla. Naloty bombowców nie ustają. W mieście, choć ofiary są już liczne, choć i wiele budynków leży w gruzach, choć w płomieniach dziś stoi historyczny kościół

OO. Jezuitów, duch mieszkańców nie słabnie. Dwa czy zaledwie trzy nasze działa przeciwlotnicze dzielnie się spisują — celnie biją. Kilkanaście maszyn niemieckich już runęło.

Za poradą mego przyjaciela, kapitana Kazimierza Cz., z pismem polecającym, które otrzymałem w D. O. K. jadę we wtorek, dnia 12 września do Stanisławowa. Mają tam być podobno sformowane nowe oddziały wojskowe. Na niezawodnym i nie grymaśnym moim koniku dwukołowym t. j. damskim rowerze, gładką, asfaltową ulicą Łyczakowską wydostałem się za Lwów. Minąłem barykady, które wzmacniano jeszcze wyrwanymi z jezdni większymi i mniejszymi kamieniami.

Na którymś kilometrze już poza Winnikami jechała szosą w stronę Stanisławowa zmotoryzowana straż pożarna. Kierowca pierwszego wozu wyminął mnie i za chwilę samochód z dużą składaną drabiną, na wierzchu umocowaną, zatrzymał.

— Jeżeli ksiądz dobrodziej — oświadcza mi — do Stanisławowa, to proszę wsiadać.

Korzystam z tak dobrej okazji. Natychmiast rower przy pomocy szofera włożyłem i przymocowałem do drabiny, a sam wsiadłem do szoferki. Dzięki temu dużą przestrzeń drogi (przeszło 200 klm.) przebyłem dość wygodnie i szybko. Do Stanisławowa przyjechaliśmy nad ranem.

W mieście, niestety, zauważam ten sam przykry nastrój, co i w całej Polsce. Wielu uchodźców, wiele oddziałów wojskowych rozbitych i zdekompletowanych, wielu oficerów powołanych z rezerwy błąka się jeszcze bez przydziału i szuka swoich

macierzystych pułków. Naloty samolotów niemieckich tak samo jak i na inne miasta po kilka razy na dzień. Bomby padają na dworzec kolejowy, mosty, ulice i domy. Pewnego dnia niszczą Niemcy na lotnisku tuż za miastem aż sześć naszych pościgowców, które nawet pod dachem nie były ukryte.

Wieści z frontu coraz gorsze. Pomoc Francji i Anglii nie nadchodzi. Krwawe boje toczą się już na polach podwarszawskich. Choć w zażartych walkach pod stolicą ginie sam dowódca grupy armii niemieckich generał Fritsch, zmotoryzowana armia niemiecka przewyższająca nasze siły przewciąż naprzód. Dochodzą wieści, że trzyma się jeszcze w okolicach Kutna generał Bortnowski. Daje się mocno wrogowi we znaki w Prusach Wschodnich nieustraszona nasza kawaleria. Walczą poszczególne oddziały w okolicach Radomia. Pod Lwowem, żołnierzom przedzierającym się z odsieczą bohaterskiemu miastu dowodzi nieustraszony generał Sosnkowski, który często z karabinem w dłoni prowadzi do ataku. Mimo ogromnych strat nieprzyjaciela, obliczanych na dziesiątki tysięcy zabitych i rannych, niema prawie żadnych szans powstrzymania barbarzyńskiego wroga.

Jeszcze jedna nadzieja — to Kresy: Pińszczyzna i Wołyń, gdzie na linii Bugu tworzy się podobno już nowa armia. Były to jednak złudne nadzieje.

Zameldowałem się w Stanisławowie w Rejonowej Komendzie Uzupełnień, gdzie spisano pewne dane z mojej ewidencji wojskowej. Zapewniono mnie, że gdy tylko uformowana zostanie jakaś

jednostka wojskowa, lub otwarty większy szpital, zostanę natychmiast zawiadomiony i wezwany do stawienia się.

Któryś z kapelanów wojskowych poradził mi, bym zamiast siedzieć bezczynnie w Stanisławowie i to nie wiadomo jak długo, udał się do Nadwórnej lub Delatyna, gdzie daje się odczuć duży brak księży, więc mógł bym się przydać.

Myśl ta trafiła mi do przekonania. Tego więc samego dnia jeszcze zaopatrzyłem się u ks. dziekana Bilczewskiego w Stanisławowie w list polecający do ks. kanonika Smaczniaka, proboszcza w Nadwórnej i nazajutrz postanowiłem wyjechać, pozostawiając adres w Rejonowej Komendzie Uzupełnień.

W sobotę dnia 16 września po południu wyruszyłem na rowerze w stronę Nadwórnej. Sądziłem, że trasę około 40 km. przejadę w ciągu 3 godzin i o ósmej wieczór stanę na miejscu.

Na 30-tym kilometrze za Stanisławowem, zmęczony i spocony zatrzymuję się na przejeździe kolejowym u dróżnika. Było już dobrze szaro. Zapaliwszy papierosa nawiązałem rozmowę z dróżnikiem i jakimś młodym mężczyzną, przybyłym właśnie na rowerze od strony Nadwórnej. Miał kilka miniaturek orderowych w klapie. Rozmawialiśmy o sytuacji ogólnej kraju. Młody człowiek narzekał, że do wojska nie chcą brać, że on, jako legionista, zgłaszał się już trzykrotnie, że położenie nasze coraz gorsze, a Ukraińcy podnoszą głowę itd. Dróżnik też zamienił ze mną kilka słów, choć obserwował mnie bardzo nieufnie, a wreszcie wprost

zapytał, skąd, dokąd i po co jadę. Wydałem mu się widocznie wielce podejrzanym, gdyż, jak się później okazało, natychmiast po moim wyjeździe zatelefonował do najbliższej stacji, że jakiś niewyraźny typ, napewno szpieg przebrany w sutannę, jedzie do Nadwórnej.

Tymczasem ściemniło się zupełnie, a miałem do przebycia jeszcze jakieś 9 km. Naciskałem więc pedały, gdy nagle przed najbliższą stacją rozległ się w ciemnościach rozkaz:

— Stój!

Z mroku wyłoniła się postać kolejarza, uzbrojonego w karabin i bagnet.

— Proszę za mną na stację — dodał za chwilę i poprowadził mnie do dużej oświetlonej sali, gdzie obecny był zawiadowca, kilku urzędników kolejowych i jakiś starszy jegomość, rosły, barczysty, o czerstwej okrągłej twarzy, dużych mądrych oczach i siwych wąsach.

Po obejrzeniu moich dowodów przyjęto mnie bardzo życzliwie. Dowiedziałem się od zebranych kolejarzy, że wielu szpiegów przyłapano już na Kresach. Niektórzy byli nawet przebrani za zakonników.

Przy herbatce z sokiem i ciastkami, którą zaproponował i przyniósł zawiadowca, potoczyła się serdeczna rozmowa.

Była już godzina 8 wieczór, gdy starszy ów pan o siwych wąsach odzywa się:

— Ta, gdzie ksiądz kapelan będzie jeździł po nocy. Jutro jest niedziela, proszę zostać i odprawić nabożeństwo w naszym kościółku, za co i ks. pro-

boszcz z Nadwórnej i my będziemy bardzo radzi. Już ze trzy tygodnie nie słuchaliśmy Mszy św. Z noclegiem nie będzie kłopotu. Prześpi się ksiądz kapelan u mnie. Miejsca jest dosyć.

Jak się okazało, był to emerytowany długoletni zawiadowca stacji Tarnowica Leśna, p. Sobieszczański.

Projekt przenocowania i odprawienia nazajutrz nabożeństwa w zapadłej wsi kresowej trafił mi do przekonania, tym bardziej, że dawało mi to możność poznania osiedla o większości rusińskiej, jakiego dotąd nie znałem.

Szczera i serdeczna pogawędka w gościnnym domu pp. Sobieszczańskich przeciągnęła się do późna. Gospodarz, wytrawny pracownik społeczny w tamtych stronach, mówił długo o fałszywej polityce władz państwowych w stosunku do mniejszości narodowych, o Ukraińcach, którzy coraz bezceremonialniej zachowywali się w stosunku do Polaków, i księżach grecko-katolickich bez skrupułów przerabiających nazwiska polskie na ukraińskie przy chrztach i odciągających młodzież od instytucyj polskich itd.

Przytoczył mi również szereg innych przykładów, które wskazywały istotnie na wielkie niedociągnięcia naszych władz w polityce mniejszościowej, o czym zresztą miałem możność przekonać się naocznie nazajutrz.

W niedzielę, dnia 17 września, już wczesnym rankiem zbudził mnie głośny warkot samolotów. Pod drzwiami dosłyszałem krzyk p. Sobieszczańskiej:

— Jezus, Maria! Bombowce niemieckie krążą nad nami.

Wyskoczyłem z łóżka i ubrałem się szybko. Dziesięć maszyn zataczało wielkie koła nad pobliską stacją. Ale, o dziwo! Niektóre, zamiast swastyki, wymalowane miały na skrzydłach wielkie gwiazdy pięcioramienne. Cóżby to miało znaczyć?...

Za chwilę rozległy się odgłosy pękających bomb, padających na dworzec i tory kolejowe. Niektóre bomby wybuchły w odległości kilkunastu metrów zaledwie od domu pp. Sobieszczańskich.

Wszyscy skryliśmy się pod drzewa. Przeraźliwy szum i ogłuszający warkot motorów, swąd rozchodzącej się spalenizny i wreszcie świst odłamków i kul syczących w powietrzu nad głowami naszymi, wytrącały nas zupełnie z równowagi. Najwięcej zdenerwowana pani Sobieszczańska na głos się modliła i wzywała opieki wszystkich świętych.

Po pewnym czasie samoloty odleciały. Mówiono powszechnie, że Niemcy podszyli się pod znaki bolszewickie. Niestety — w dwie godziny później większy oddział naszej piechoty strącił w lasach nadwórniańskich z karabinów maszynowych dwa płatowce. W strzaskanych samolotach znaleziono rannych lotników bolszewickich.

O godz. 10-tej, w ładnej, nowo postawionej filialnej kaplicy odprawiłem nabożeństwo dla miejscowej ludności rzymsko-katolickiej. Opodal stała duża, stylowa stara cerkiew grecko-katolicka. Chciałem ją zwiedzić, jako ciekawy zaby-

tek budownictwa drewnianego. Udałem się do niej w towarzystwie kierownika miejscowej szkoły. W pewnej chwili, gdy staliśmy na cmentarzu pod cerkwią, w dwóch czy trzech punktach wsi rozległ sie chóralny śpiew.

— Cóż to słychać? Żołnierze jacyś chyba śpiewają? — zwróciłem się do kierownika szkoły.

— Niestety — odparł mój towarzysz — to sekciarze odprawiają o tej godzinie swe modły.

— Jakto, tu w zapadłej ruskiej wsi sekciarze? A jakież sekty mogły się tu zagnieździć?

— Jest ich tu chyba pięć najmniej: badacze, protestanci, kalwini, adwentyści i baptyści.

— Sekty protestanckie w waszej wsi? To dziwne. Jeszcze się z czymś podobnym nie spotkałem. A któż odprawia im nabożeństwa?

— Co sobotę przyjeżdżają z Łodzi i z innych miast Niemcy, kierownicy i nauczyciele tych nowych wyznań i wygłaszają swoje kazania. Gdyby to jednak były nauki i kazania budujące... Ale wszczepiają tylko obałamuconym masom chłopskim nienawiść do wszystkiego, co polskie i katolickie.

Niemcy, heretycy z Łodzi co sobotę przyjeżdżają do zapadłej wsi ruskiej. Przecież to najoczywistsza robota antypaństwowa. Przecież to jeden z wielu objawów szpiegostwa i dywersji ze strony Niemców.

— I cóż wy na to, wy Polacy i katolicy? — pytam z rosnącym zdziwieniem. — Nie przeciwdziałacie tej robocie? Bójcie się Boga, to

tak się buduje Polskę na kresach? — dokończyłem głosem już podnieconym.

— Niestety, księże kapelanie — odrzekł smutnie kierownik szkoły. — Kilkakrotnie sam meldowałem policji o potajemnej robocie antypaństwowej, szerzonej w naszej wiosce przez sekty protestanckie i inne o hasłach komunistycznych. Zawsze otrzymywałem jedną odpowiedź: policja nic nie może zrobić, gdyż sekciarze z punktu widzenia przepisów konstytucyjnych są w porządku.

Teraz rozumiem, dlaczego Niemcy nas biją, może nie tyle swoją przewagą militarną, ile szpiegostwem, od lat całych pod osłoną naszej konstytucji uprawianym. Gubi nas zbyt szeroko pojęta nasza tolerancja w stosunku do mniejszości, której Niemcy i wiele innych państw nie zna. Oj, źle, źle z nami...

Tego samego dnia byłem na obiedzie u kierownika szkoły, zresztą bardzo dobrego Polaka i inteligentnego człowieka. Po skromnym obiedzie zasiedliśmy do radia. Długo szukaliśmy na falach radiowych Warszawy. Nie odzywała się już... Zamilkła....

Nagle odzywa się kierownik:

— Nadaje coś bardzo gwałtownie Moskwa. Ksiądz kapelan rozumie po rosyjsku, proszę uważać, przemawia Stalin.

Czuję w pewnym momencie, że słabnę. Widzę, że kierownik i jego żona zbledli zupełnie. Też rozumieli coś niecoś po rosyjsku.

Jak gromy z nieba, jak strzały zatrute jadem, jak bomby napełnione iperytem padały z odbiornika radiowego słowa tekstu noty bolszewickiej o przekroczeniu granicy polskiej przez kilkadziesiąt dywizyj nowego, wschodniego najeźdźcy.

Ciężko i nad wyraz boleśnie było słuchać motywów, uzasadniających ten straszny dla nas krok bolszewicki: że nie ma już w Warszawie rządu, że nie wiadomo, gdzie jest naczelny wódz armii polskiej... idziemy z pomocą braciom Ukraińcom.

Opadły mi ręce, ugięły się kolana. Usiadłem bezsilny. Okropne myśli ciśnąć się zaczęły do głowy. W oczach ciemnia. Z głębi duszy wydziera się okrzyk: Boże!... Tracimy niepodległość... Tracimy Ojczyznę!...

W kołysce rozległ się płacz dziecka. Rzuciła się ku niemu czuła matka i nad płaczącą dzieciną sama się w głos rozpłakała. Zanosząc się cała od płaczu, przez szloch szeptała:

— Co teraz będzie z nami... Ukraińcy... Bolszewicy... Niemcy... Boże! Co będzie z dziećmi naszymi?...

Nic już więcej nie słyszałem. Nie rozumiałem słów, które jeszcze padały z głośnika. Siedziałem, jak martwy. Serce tylko waliło mi mocno w piersi. Wilgotnymi oczyma patrzyłem na zachodzące chmurami polskie niebo.

Siedzący przy stole kierownik wsparł głowę na dłoniach, złożonych jak do modlitwy i też rzewnie płakał.

Radio zamilkło. Nastała chwila grobowej

ciszy... Słychać było tylko ciężkie, bolesne, urywane słowa kierownika:

— Nie mamy już Polski... Nie mamy Ojczyzny, Matki ukochanej... Sierotami jesteśmy i niewolnikami...

Dwie wielkie łzy stoczyły się po jego bladych licach.

Nagle zerwał się nerwowo, skoczył do stolika nocnego, wyjął rewolwer, zarepetował. Nerwowym ruchem schował broń do kieszeni i wybiegł z domu, a za nim pobiegł rozpaczliwy szloch żony.

W DZIEŃ PRZEKROCZENIA GRANICY

Tego samego dnia, w którym bolszewicy niespodzianie, bez wypowiedzenia nam wojny, przekroczyli granicę wschodnią, to jest w pamiętną niedzielę 17 września nad wieczorem jechałem do Nadwórnej.

Widać było, że zmieniła się cudna pogoda i złota jesień polska już miała się ku końcowi. Pogodny błękit nieba stawał się z każdą godziną więcej szarym, mglistym, beznadziejnym... Od wschodu i zachodu ukazywać się zaczęły wielkie kłębiaste, ciężkie chmury... Powiał i wiatr chłodniejszy, który smętnie szeleścił żółknącymi liśćmi na drzewach i smagał długimi warkoczami na pochylonych płaczących brzozach przydrożnych. Miało się na deszcz...

Przejeżdżając szosą przystanąłem na chwilę przed domem państwa Sobieszczańskich. Zacna staruszka, pani domu popłakując pakowała coś do małej walizki. Pan Sobieszczański zamyślony i zdenerwowany chodził po pokoju dużym miarowym krokiem.

— Czegośmy się doczekali, drogi księże kapelanie — odzywa się prawie z płaczem na mój widok. — Teraz dopiero bolszewicy czy ukraińcy nasi mścić się zaczną. Czuję to dobrze, że

pierwszy padnę ofiarą tu w swoim własnym domu. Niechybna śmierć, która mnie czeka, czy okrutne męczeństwo, oto zapłata za mozolną i ofiarną moją pracę dla Polski na Kresach. Ha! trudno, ale żywego mnie w żaden sposób nie wezmą, do ostatniego naboju będę się bronił.

— Uważałbym — za chwilę dodaję — panie naczelniku, po co się oddawać dobrowolnie w ręce wrogów. Macie Państwo blizko granicę rumuńską czy węgierską. Spakować i zabrać ze sobą co najważniejsze i najcenniejsze i co rychlej wyjeżdżać bodajby jeszcze dziś wieczorem lub w nocy.

— Owszem, sym mój, który pracuje w Stanisławowie, jeszcze wczoraj o tym samym wspominał i radził nam to w ostatniej chwili zrobić. Oczekuję go właśnie, ma teraz nad wieczorem przyjechać.

— Ja zatrzymuję się na probostwie w Nadwórnej — dodałem w między czasie — i tam postanowię, co dalej robić. Gdybym się mógł Państwu na co przydać, to proszę bardzo zgłosić się do Proboszcza.

Serdecznie pożegnałem pana Sobieszczańskiego i jego strapioną małżonkę.

— Niech się Ksiądz kapelan pomodli na naszą intencję — dodała przed moim odejściem — bo jeden tylko Bóg może nas wyratować z tej grozy i nieszczęścia.

Przed samym już wieczorem szybko pędziłem na rowerze szosą. W dużej wiosce Nazawirów, przez którą przejeżdżałem, — stały pod domami

całe gromady chłopów, którzy radzili o czemś. Wielu miało czerwono-białe wstążeczki na ramieniu, niektórzy zaś, zauważyłem, mieli już na lewym rękawie ukraińskie niebiesko-żółte opaski. W dwuch miejscach jakimś drabom musiałem się legitymować i pokazywać swoje dowody. Wąsaci chłopi, w koszulach wypuszczonych, rozmawiali między sobą tylko po ukraińsku.

Ciemno się zrobiło zupełnie i deszcz rzęsisty zaczął padać, gdy dojeżdżałem do plebanii w Nadwórnej. W zastępstwie nieobecnego chwilowo Proboszcza przyjął mnie bardzo serdecznie i gościnnie ksiądz wikary Zbigniew Szuberlak. Młody, zapalny księżyna, który przed wstąpieniem do seminarium przed kilkoma laty ukończył podchorążówkę, poważnie się zastanawiał, czy nie wstąpić też do wojska na ochotnika. Około godziny 9-tej wieczorem nadszedł Proboszcz, uprzejmy, miły, inteligentny i znany w całej okolicy działacz na niwie społecznej. Przy kolacji długo rozprawialiśmy o przyczynach tej niesłychanej katastrofy i upadku naszej Ojczyzny.

— Obecnie, Księże kapelanie — w pewnej chwili zaznaczył ks. Proboszcz — dla nas Polaków tu na Kresach rozpoczyna się okres gehenny. Tu poleje się naprawdę krew męczeńska. Dobrze znam ukraińców i tutejszych żydów komunistów. Mieszkam tu już i patrzę na ich robotę przecież kilkanaście lat.

— Nie wyjeżdża chyba Ks. Proboszcz z parafii — wtrąciłem po chwili.

Uważam, że nam kapłanom katolickim, a przede

wszystkim Proboszczom, nie wolno w takich wypadkach opuszczać parafii. Nieobce bowiem jest Kościołowi naszemu święte męczeństwo. Ja zostaję na miejscu, ale Księdzu Zbigniewowi — zwraca się do swego wikarego — radzę wyjechać. Wy jesteście młodzi i kto wie, czy po skończonej wojnie jeszcze więcej was nie będzie potrzeba do pracy wielkiej twórczej, może na zgliszczach i ruinach zniszczonej i umęczonej ziemi ojczystej.

Przejęty i zdenerwowany młody ksiądz wikary poszedł do siebie pakować się.

Do późnej godziny gawędziłem z miłym proboszczem, dla ofiarnej pracy którego nawet i sami ukraińcy mieli dużo uznania. Około północy wziął się do robienia porządku w swoim biurku. Wiele papierów i różnych dokumentów widziałem, popalił. Niektóre rzeczy odkładał do walizki. Co chwila dzwonił telefon. Otrzymywał od kogoś coraz nowe wiadomości: między innymi, że już późną godziną wieczorem, delegacja złożona z miejscowych komunistów, przeważnie żydów, była w starostwie, żądając wydania pieczęci, kluczy i pieniędzy, że po domach nocą ukraińcy rozpoczęli rewizję i zabierają złote i srebrne przedmioty, że żołnierzy naszych chcą już rozbrajać i. t. p.

Niektóre rodziny polskie w mieście, zwłaszcza zamożniejsze, nagwałt tej nocy się pakowały i wyjeżdżały w stronę granicy rumuńskiej lub węgierskiej.

Ciemno jeszcze było kiedy zbudziłem się dnia następnego. Wziąłem rower z plecakiem i wyszedłem na szosę. Mimo bardzo wczesnej pory

widać było duży ruch automobilowy. Najwięcej samochodów skręcało szosą na Delatyn. Bezwiednie, wprost bez głębszego namysłu, udałem się i ja w tę stronę. Na skręcie szosy stało kilka ciężarowych wozów. Żołnierze dolewali benzyny do baków.

— Dokąd ksiądz proboszcz się udaje? zapytuje mnie porucznik stojący koło pierwszego samochodu.

— Właściwie, panie poruczniku, nie wiem dokąd. Chciałbym, mówiąc szczerze, z wojskiem jechać, jestem kapelanem rezerwy i dotychczas nie otrzymałem jeszcze żadnego przydziału. Jakiż ma rozkaz wojsko? — pytam za chwilę.

— Władze naczelne rozkazały wszystkim żołnierzom wycofywać się jak najszybciej w kierunku granicy. Tam mają być wydane dalsze rozkazy. Ja — ciągnął dalej oficer — prowadzę kilka samochodów ciężarowych do granicy węgierskiej, z kolumny automobilowej. Mogę księdza kapelana zabrać, proszę wsiadać. Chętnie, oczywiście, korzystam z propozycji i znów jadę, jak wielu, wielu innych w nieznane.

Auto pędziło bardzo szybko, by jeszcze, nim słońce wzejdzie znaleźć w górach i lasach ochronę przed nalotami niemców, czy bolszewików. Rower i plecak oddałem na wóz żołnierzom, których kilku siedziało pod nakryciem w samochodzie, sam zaś zająłem miejsce obok porucznika w szoferce. Przez całą drogę dużo mi ciekawych rzeczy naopowiadał: i o bohaterskich żołnierzach naszych, którzy dobrze dali się niemcom we znaki,

i o dowódcach niektórych, a nawet generałach, którzy już zdążyli przekroczyć granicę rumuńską, i o bezczelnych ukraińcach i żydach strzelających z zapłotów i domów do naszych oddziałów, jak np. pod Stanisławowem i Brzuchowicami, gdzie żołnierze nasi stoczyć musieli formalną bitwę z bandą ukraińską i dopiero po spaleniu dwóch chałup przydrożnych i po zastrzeleniu dwóch mołojców droga znów na jakiś czas została oczyszczona.

W Delatynie pożegnałem uprzejmego porucznika. Miał on rozkaz jechać nie na Worochtę tylko inną drogą aby spotkać się ze swoim dowództwem.

Piękną szosą biegnącą u podnóża coraz bardziej wznoszących się gór, powoli posuwałem się naprzód na rowerze. Dzikie jary, rozległe zielone doliny, lasem porośnięte wzgórza, wreszcie szybkie, po ostrych kamieniach bulgocące strumienie, wraz z piętrzącymi się po obydwu stronach szosy przeogromnymi bryłami skalnymi, jakby sztucznie ułożonymi czy wykutymi, stwarzały uroczy i niezwykle miły dla oka ludzkiego, niezapomniany krajobraz górski.

Już pod Worochtą dopędziłem długi szereg wozów wojskowych i cywilnych, na których Obrona Narodowa z Delatyna wiozła mundury, broń i żywność wyratowaną w ostatniej chwili przed nacierającymi bolszewikami i ukraińcami.

— Może ksiądz kapelan nie ma munduru, czy płaszcza wojskowego, proszę sobie wyfasować. Wieziemy całe komplety, które zdążyliśmy jeszcze wywieźć przed wrogiem, a niewiadomo czy na granicy i tak nie będziemy musieli oddać Węgrom.

Oczywiście, skorzystałem z tak pięknej oferty i w kilka chwil, choć jeszcze bez przydziału formalnego byłem przebrany po wojskowemu. Ucieszyłem się z tego umundurowania, bo chodziło mi o sutannę, którą, choć mocno podniszczoną w drodze, mogłem teraz uratować od zupełnego zniszczenia.

I co to będzie dalej z nami, księże kapelanie — odzywa się obok mnie idący jakiś starszy jegomość, dobrze już szpakowaty z odznakami sierżanta. — Wszystko rzuciłem: pracę, dom i rodzinę, pierwszy zapisałem się do obrony narodowej, by walczyć za Ojczyznę do ostatniej kropli krwi, a tu przychodzi dziś na moje stare lata tułać się po obcej ziemi i jeść ten gorzki chleb wygnańca. Wszystkiegom się spodziewał, ale żeby w tak krótkim czasie... Nie mógł już dokończyć zdania, bo wyraźnie widziałem w jego oczach błyszczące łzy.

— Panie sierżancie, o jednym nie możemy zapominać. Niemcom, których przecież tylu padło w Polsce, nie tak prędko jeszcze dalibyśmy się zniszczyć, gdyby nie bolszewicy. Na linji Bugu rozegrałaby się dopiero ostateczna rozprawa z prusakami. Niestety, niespodzianie i zdradziecko zadany nam przez bolszewików cios śmiertelny musiał przechylić szalę zwycięstwa na stronę niemców. Z dwoma takimi kolosami już nie było dla nas sensu prowadzić wojny.

— Tak, czy nie, moglibyśmy się jeszcze trzymać i bronić, lub iść choćby na odsiecz Warszawy, czy bohaterskiego Lwowa, albo wreszcie, proszę

spojrzeć, w tych górach czy lasach nie byłby cudowny teren do walki? Myślę, że na całym Podkarpaciu, mając zabezpieczone tyły od Rumunji i Węgier, długo można byłoby się jeszcze trzymać. Nicby nam nie zrobiły tu i tanki i samoloty nieprzyjacielskie. A tak to co — w niespełna trzy tygodnie w niesłychanej panice i bezładzie opuszczamy Ojczyznę, a kraj i miliony naszych braci zostawiamy na pastwę ohydnych wrogów. Nie umiałem mu nato dać odpowiedzi, czułem tylko, że rodzi się we mnie też coraz większy żal.

Na kilka kilometrów przed granicą przejeżdżam obok starej, niewielkiej cerkwi unickiej, tuż przy szosie stojącej.

— Czy jest w domu ksiądz proboszcz? — pytam się jakiegoś przechodnia.

— Ta gdzie, niema go już od kilku dni — odpowiada mi nieznajomy. — Uciekł z rodziną i skrył się w góry w obawie przed bolszewikami.

Jestem już coraz bliżej granicy. Pozostało mi jeszcze zaledwie pięć czy sześć kilometrów. Obrazki i sceny przy drodze napotykane coraz smutniejsze. Po rowach przydrożnych tu i ówdzie leżą porozrzucane hełmy żołnierskie, maski przeciwgazowe, różne pudełka, skrzynki i walizki porozrywane.

W kilku miejscach stoją na boku szosy auta różnego rodzaju, a obok płoną duże ogniska: — to wojskowi, policja i urzędnicy nasi palą wszelkie papiery, dokumenty i akta urzędowe.

Smutny nad wyraz widok. Wielu żołnierzy zdezorientowanych i bez żadnej opieki pozostają-

cych błąka się po drogach i lasach. Niektórzy strzelają z karabinów i granatów ręcznych. Widzę, że wielu śpiesznym krokiem wraca od granicy. Zapytuję jednego:

— Czemu nie idziecie w kierunku na Węgry?

— Sami nie wiemy co robić — odpowiada mi jeden z żołnierzy. Kazano rozejść się i w ostatniej chwili powiedziano nam, że możemy iść gdzie chcemy.

Biedni żołnierze!... Jedni mówią między sobą, że lepiej wracać do domu, drudzy, że na granicy jest ścisła rewizja, jeszcze inni, że Węgrzy, nim przepuszczą za granicę, zmuszają do podpisania deklaracji na dwa lata robót przymusowych. Widać wyraźnie, że i tutaj działają jakieś obce siły.

Za chwilę od granicy maszeruje dość spory oddział, prowadzi go starszy sierżant w mundurze lotnika. Kilku żołnierzy dźwiga karabin maszynowy, drudzy niosą w skrzynkach amunicję.

— Chodźcie z nami żołnierze — odzywa się komendant tego oddziału — Lwów i Warszawa przecież bronią się jeszcze. Zbierzemy po drodze wiezioną broń i razem pójdziemy na odsiecz. Mamy zostać jeńcami zagranicą, to lepiej bić się do ostatniej chwili. Pomaszerowali szybko i zginęli w ciemnościach nocy na szosie.

Tymczasem coraz to więcej przeważnie wojskowych samochodów pędzi ku granicy. Na chwilę przystanęły. Utworzył się jeden, może kilometrowej długości łańcuch. Z wozów zaczęli wychodzić, z karabinami zawieszonymi na szyi, żołnierze zbrudzeni i zmęczeni. Stali też oficerowie groma-

dami i rozmawiali półgłosem. Wielu z nich odchodziło na bok i jak dziecko po stracie ukochanej matki, rzewnie płakało. Niektórzy w jakiejś głębokiej zadumie, z przekleństwem na ustach wracali z powrotem, sami nie wiedząc gdzie i po co. Jeszcze inni, nie mogąc się zdecydować na przekroczenie granicy i oddanie broni, woleli od własnej zginąć kuli.

Tymczasem od strony Worochty i Delatyna przybywało coraz więcej zmotoryzowanych jednostek. Szły w kolejce cięższe karabiny maszynowe, armaty mniejsze i większe, wreszcie kilka zenitówek przeciwlotniczych. Posuwały się też naprzód z trzaskiem i hukiem cztery tankietki.

Miało się już ku wieczorowi.

Kiedy wreszcie mrok nocny szybko schodził na ziemię, a mgły i opary spowijać zaczęły doliny i ciemniejące wokoło bory, boczną drogą wzdłuż pasa pogranicznego szedł duży oddział piechoty podhalańskiej. Zatrzymał się tuż przy słupie granicznym, na którym widniał herb węgierski i duży napis MAGYARORSZAG. Kolumna zrobiła czwórkami w lewo zwrot. Nastała chwila ciszy. Wtem rozległ się głośny ochrypły głos dowódcy:

— Żołnierze! Za chwilę przekroczyć mamy z rozkazu dowódcy sił zbrojnych, Pana Marszałka Śmigłego-Rydza, granicę naszej ukochanej Ojczyzny.

Po chwili pada ostatni rozkaz:

— Całość na moją komendę klęknij... Całuj broń... Czapki zdejm... Pożegnaj ziemię ojczystą...

Dwa tysiące blizko chłopa padło na ziemię. Wyglądało to, jakby wielu rozłożonymi rękoma objąć chciało w ostatnim uścisku Ojczyznę swoją — Matkę ukochaną... Rozległ się głośny i długi płacz... Dowódca podniósł garść ziemi owinął w chusteczkę i schował do lewej górnej kieszeni swego munduru. Wielu z żołnierzy uczyniło to samo.

Przedstawiciele bratniego narodu — Węgrzy, obok stojący, zrozumieli widocznie co odczuwa i przeżywa w tej chwili wielkie, szlachetne serce żołnierza polskiego — obrońcy Ojczyzny. Stali wszyscy na baczność z odkrytymi głowami.

Tymczasem ściemniło się zupełnie...

Zerwał się gdzieś między górami i zawył ponuro gwałtowny wiatr.

W smętnym poszumie wysmukłych jodeł i rozłożystych buków wyczuwało się jakby płacz i skargę zakrwawionej i umęczonej ziemi.

Z za lasu wychylił się srebrno-mglisty rąbek księżyca i skrył się zaraz za ciężkie, nisko wiszące ciemne chmury.

W pobliżu rozległ się jeszcze jeden strzał... Wśród ciszy zbliżającej się nocy zabłąkane echo, odbiwszy się kilkakrotnie o wysokie góry, ginęło gdzieś hen daleko...

Ciemno szare i beznadziejne niebo płakać zaczęło rzęsistymi kroplami deszczu...

NA TUŁACZYM SZLAKU

Pomiędzy wieloma jednostkami wojskowymi, które na rozkaz Naczelnego Wodza, dnia 18 września 1939 r., różnymi drogami zdążały ku granicy węgierskiej, znalazł się i warszawski oddział artylerii przeciwlotniczej. Był to 11 dywizjon motorowy, który składał się z 600 ludzi i 20-tu paru oficerów. Ponadto do dyonu po drodze przyłączyły się jeszcze dwie baterie przeciwlotnicze, jakieś małe oddziały techniczne i wielu oficerów i szeregowych z innych różnych formacyj. Dziś dywizjon miał jeszcze do swojej dyspozycji 187 wozów motorowych i 20 dział przeciwlotniczych: 16 ciężkich i 4 szybkostrzelne.

Oddział ten, od pierwszego dnia wojny biorąc udział w akcji bojowej dzielnie bronił przed bombowcami niemieckimi Warszawę, Lublin, Włodzimierz, Łuck, Tarnopol i Stanisławów.

Odważni i waleczni żołnierze, w większości warszawiacy, rozumiejąc doniosłość broni przeciwlotniczej w nowoczesnej wojnie, pod fachowym kierownictwem dowódcy i oficerów dobrze spełnili swoje zadanie. Dość powiedzieć, że już w pierwszych pięciu dniach wojny na rachunku swoich sukcesów mieli zapisanych 26 maszyn niemieckich, pod jedną tylko Warszawą zestrzelonych.

Przypadkowo zupełnie, na samej granicy węgierskiej pod wsią Jabłonicą poznałem dowódcę 11-go dywizjonu, majora Olgierda Eminowicza. Był, jak wszyscy zresztą oficerowie w tej tragicznej nad wyraz chwili, przygnębiony i złamany na duchu. Z ócz i wymęczonej, bladej twarzy jego wyzierał smutek i głęboki ból.

Major nie spieszył się z przekroczeniem granicy, owszem, wyraźnie odwlekał ten moment i czekał, by przedewszystkim upewnić się co do rozkazu władz naczelnych, a w razie nieistniejącego takiego rozporządzenia wrócić jak najrychlej z pomocą dla broniącej się Warszawy. W pewnym momencie zjawił się generał Kołłątaj — Srzednicki, który jednak potwierdził rozkazy wydane i starał się wpłynąć uspakajająco na oficerów i żołnierzy całego dywizjonu, apelując jednocześnie do wszystkich, aby się nie ociągali z przekroczeniem granicy, bo tarasuje się w ten sposób drogę dla innych oddziałów wycofujących się od strony Lwowa. Dodał przytym, że i generał Sosnkowski wydał taki sam rozkaz swoim żołnierzom. To zadecydowało — i dowódca major Em. rozkazał oddziałowi swojemu przekroczyć granicę.

W czasie, gdy kolumna cała zatrzymała się czekając swojej kolejki przy przejściu granicy, rozmawialiśmy dłuższą chwilę. Z rozmowy wyczułem przedewszystkim, że jako dowódcę tak licznej jednostki bojowej najwięcej go boli to, iż w chwili, kiedy na ziemiach polskich jeszcze wre walka zacięta, kiedy Lwów i Warszawa bronią się do upadłego, on z oddziałem uzbrojonym, zamiast

Mój dowódca mjr. O. Eminowicz.

na froncie stoi dziś nad granicą, którą ma przekroczyć za chwilę. Zaznaczył również, że i żołnierze sami rwą się do walki i płaczą, jak dzieci, na samą myśl, że jeszcze dziś złożyć bębą musieli broń i stać się tułaczami na obcej ziemi.

— Nie dziwię się ks. kapelanie — dodał w pewnej chwili — że wśród nas wojskowych jest wielu, których nerwy nie potrafią w żaden sposób znieść tej niesłychanej tragedii.

Nie mógł dłużej mówić bo czułem, że i jemu załamuje się drżący głos. W pewnej chwili chusteczką otarł łzy...

— Nie jestem fachowcem, panie majorze — odezwałem się po chwili, ale myślę, że tylko ten zdradziecki i znienacka przez bolszewików zadany nam cios, był dla nas ciosem śmiertelnym. Tego przecież nie spodziewaliśmy się.

— Bezwątpienia — dodał major — w walce już dziś beznadziejnej władzom wojskowym chodzi tylko o ratowanie żołnierza polskiego i pozostałej armii, która jest i musi być świętością narodową i ostatnią nadzieją dla kraju w krwi broczącego i zbolałego. Trudno!... przekraczając granicę nie przestajemy być żołnierzami, pójdziemy — dodał z rezygnacją — bo taki mamy rozkaz. Wierzę, że nadejdzie dla nas chwila, kiedy pomścimy krew i łzy, krzywdy i zbrodnie wyrządzone przez wrogów naszej Ojczyźnie.

W końcu przed odejściem zaznaczył jeszcze, że pragnąłby bardzo zapewnić całemu swojemu oddziałowi dobrą opiekę duchową na obczyźnie i zwrócił się z zapytaniem do mnie, czybym nie

zgodził się zostać kapelanem jego dywizjonu. Oczywiście, z wielką radością przyjąłem propozycję, boć o to tylko mi chodziło, żeby uzyskać jak najrychlej przydział wojskowy, co zresztą było moim głównym celem.

Podając mi rękę dorzucił.

— Dziękuję księdzu kapelanowi. Proszę z nami wsiadać, za chwilę ruszamy.

W mrokach przygnębionej duszy mojej odczułem jakby przedzierający się jasny, ciepły promień słoneczny. Zdawałem sobie sprawę, że za moment przekroczyć mam granicę i iść jak wielu innych po nieznanych drogach i ścieżkach pielgrzymstwa polskiego... Szły już niejedne pokolenia nasze tą drogą.

Osłodą jedyną i największą w tym momencie rozstania się z ziemią ojczystą, była myśl i przeświadczenie, że rozpoczynam tułaczkę, ale nie sam... razem z naszym szarym ukochanym żołnierzem polskim, w sercu którego podtrzymywać i rozwijać w dalszym ciągu wśród obcych piękny i wzniosły ideał miłości Boga i Ojczyzny będzie moim głównym celem i zadaniem. Obym tylko mu sprostał.

W pamiętną ową noc, wydzierał mi się okrzyk:

Polsko dla ciebie żyć, dla ciebie umrzeć pragnę!...

Za chwilę z szumem i trzaskiem zawarczały motory samochodowe. Kolumna zwolna ruszyła naprzód.

Na pola przydrożne, góry i lasy spowite w jesienne mgły i ciemności nocne, padały ostatnie, jakby

na pożegnanie ostre i silne odblaski lamp samochodowych. Z ciemnego nieba coraz rzęsistsze zaczęły padać krople deszczu...

Na samej granicy przedstawiciele bratniego narodu węgierskiego, żołnierze i oficerowie, serdecznym pozdrowieniem witali nas wszystkich. Wielu z odkrytymi głowami wznosiło okrzyk: „Eljen Lengyelorszag!"

Niektórzy, podbiegając do samochodu, podawali naszym chleb i owoce. Żywo stanęło mi w pamięci powiedzenie, często w Polsce powtarzane: „Węgier-Polak — dwa bratanki..."

Tego samego dnia, około godziny 6-ej rano, dywizjon cały stanął na olbrzymim placu obok stacji kolejowej w miasteczku Körösmezö, odległym o kilka kilometrów od granicy. Był to pierwszy postój i pierwsza noc spędzona na ziemi węgierskiej.

19 września około godz. 9-ej, kolumna ruszyła w dalszą drogę. Kierunek mieliśmy wskazany na Beregszaz i Munkacz, miasta znajdujące się w głębi Węgier, odległe o przeszło chyba 150 klm. od granicy.

Pogoda od samego rana zapowiadała się piękna, słoneczna. Samochody wojskowe szybko niosły nas po gładkiej szosie węgierskiej, wijącej się u podnóża Karpat, tuż ponad szumiącą i szybkobieżną Cisą.

Mijaliśmy większe i mniejsze miasteczka, jak również wioski malowniczo rozrzucone wśród przepięknych dolin górskich. Jakże żywo ten piękny krajobraz węgierski, wraz z miejscową ludnością rusińską, przyodzianą w charakterys-

tyczne stroje, przypominał mi nasze polskie Podkarpacie.

Poczciwi żołnierze, oblani ciepłymi promieniami jesiennego słońca, całą piersią oddychali świeżym powietrzem górskim, nasycając oczy coraz to piękniejszym krajobrazem. Na chwilę jakby rozchmurzyły się ich młode i czerstwe twarze, jeszcze wczoraj tak posępne i smutne. Może chcieli zapomnieć w tej chwili o tym, że coraz bardziej oddalają się, i to nie wiadomo na jak długo od ukochanej Ojczyzny, od swoich chat rodzinnych i od osób najdroższych pozostałych w kraju.

Ludność węgierska witała nas wszędzie po drodze z prawdziwym współczuciem, życzliwym uśmiechem i serdecznym pozdrowieniem. Na wielu postojach, gospodarze miejscowi obficie częstowali żołnierzy czym tylko mogli. Ambitne znów nasze „chłopaki", chcąc się zrewanżować i dać dowód swojej życzliwości i wdzięczności, całymi garściami rozdawali papierosy „fasowane" i żołnierskie suchary.

Pod wieczór tego dnia minęliśmy niewielkie miasto Raho, pięknie rozłożone wśród gór i na drugim, czy na trzecim kilometrze za miastem kolumna cała zajechała na wielką dolinę znajdującą się nad brzegiem Cisy, wśród niebotycznych pięknych gór karpackich okalających ją ze wszystkich stron.

Olbrzymia równina była głównym zbornym punktem dla wszystkich jednostek wojskowych, które przekroczyły granicę. Zastaliśmy już tu wiele różnego rodzaju innych samochodów, rzędami ustawionych, które przed nami nadeszły.

Nowych grup przybywało coraz więcej. Wszystkie tu się koncentrowały. Różne rodzaje broni można było oglądać. Obok pięknych limuzyn, samochodów pancernych, armat większych i mniejszych, stały na uboczu szeregi czołgów należących do 10-ej brygady pancernej, dowodzonej przez pułkownika Maczka (obecnie generała). Ludzi moc. Oprócz żołnierzy i oficerów widać było mnóstwo również ewakuowanych kobiet, dzieci, policji i strażaków. Od wojska przyodzianego w najrozmaitsze mundury aż się roiło. Co chwila zjawiał się nowy transport. Nadchodziły bez przerwy mniejsze i większe oddziały piechoty. Pod wieczór tłum urósł już do kilkunastu tysięcy osób. Widok rzeczywiście niesamowity. Istna wędrówka ludów.

Żołnierzyska pomimo zmęczenia całodzienną jazdą, korzystając z bliskości wody, myli się i kąpali się w rzece. Szoferzy wzięli się do mycia wozów, a po doprowadzeniu ich do porządku, poukładali się pokotem na autach, albo na gołej ziemi i smacznie spali.

Kiedy słońce przechyliło się już na zachód i krwawe swoje blaski rzucać zaczęło na wysokie i ostre szczyty górskie, kiedy mgła wieczorna schodzić zaczęła na ziemię, w kilkunastu miejscach zadymiły kuchnie polowe. Pod wieczór zagrały trąbki. Żołnierze z menażkami w ręku biegli na zbiórkę.

Długo po kolacji jeszcze rozlegał się wokoło gwar i szum. Dopiero, kiedy ściemniło się zupełnie, a gęste opary jesienne spowiły całą kotlinę górską i na bezchmurnym, ciemno-błękitnym tle nieba zabłysły pierwsze gwiazdy złociste, poszczególne

większe oddziały stawały w dwuszeregu do modlitwy wieczornej. Z tysiącznych zdrowych piersi żołnierskich, w kilku naraz miejscach, rozległa się głośno, poraz pierwszy na obcej ziemi, polska pieśń wieczorna: „Wszystkie nasze dzienne sprawy"... Głuchym echem odbijały się od ścian wysokich pobliskich gór słowa modlitwy śpiewanej: Wielu snem śmierci upadło, co się wczoraj spać pokładło...

Coraz większa cisza i spokój nocny nastawał. Tylko długo jeszcze gdzieś gromadka żołnierzy nuciła jakąś smętną melodię polską, której wtórował głośny, monotonny szum płynącej obok rzeki.

PRZY OGNISKU

Długo w noc tego pamiętnego wieczoru chodziłem samotny po rozległej dolinie wśród drzemiących, jakby rzędami poustawianych samochodów i milczących armat. Mimo zmęczenia i wyczerpania wskutek kilku niedospanych nocy, nie odczuwałem potrzeby snu.

Rożne myśli cisnęły mi się do głowy i wybiegały w tę tajemniczą, nieznaną przyszłość nawet najbliższego jutra. Co się też teraz stanie z nami? Jakie będą koleje naszej żołnierskiej tułaczki? I co będzie z naszym narodem umęczonym, Ojczyzną ukochaną?... Te i podobne pytania rodziły się w mojej jaźni, na które nie znajdywałem odpowiedzi. Noc była pogodna, a niebo usiane gwiazdami. Późną już wieczorną godziną z za gór wychylił się srebrny księżyc i cudownie oświetlił zębate wysokie szczyty, rzekę w pobliżu szumiącą i cały wielki obóz już w śnie pogrążony. Tylko na niektórych wozach samochodowych słychać było jeszcze półgłosem prowadzone rozmowy. Gdzieś bliżej rzeki, tuż pod rosnącymi karłowatymi jakimiś drzewami, widzę z daleka czerwony płomień. Przypatruję się i idę w tym kierunku. Przy rozpalonym dużym ognisku siedzi kilku naszych żołnierzy. Jeden, gestykulując, opowiada coś donośnym głosem.

O czem że oni tam tak radzą — myślę sobie.

Za chwilę znalazłem się przy nich.

— A, to ty Mieciu, taki rej wodzisz przy ognisku o tak późnej porze!? — odzywam się do młodego kaprala z broni pancernej Białkiewicza, którego poznałem w drodze jeszcze w czasie przekraczania granicy. Inteligentny młodzieniec, o czarnych malutkich wąsikach i jeszcze czarniejszych, bystrych oczach, pochodził z Kieleckiego i był synem nadleśniczego. Od pierwszego dnia wojny brał czynny udział w akcji.

— Czołem, księże kapelanie! Spotkałem kilku moich kolegów z broni pancernej i opowiadamy sobie niedawne wrażenia i wyczyny nasze w walkach z Niemcami.

— Jeżeli pozwolisz i ja chętnie posłucham — odpowiadam mu i siadam przy ognisku.

— Tylko proszę się nie krępować i dalej mówić tak, jakby mnie nie było — dodałem po chwili.

— Rozkaz, księże kapelanie — i nie krępując się moim przybyciem, ciekawie opowiadał dalej.

— Drugiego dnia wojny przed południem, byliśmy w Pabianicach. Tu już stało dużo różnych taborów, kawalerii i artylerii. Nad dworcem krążyła eskadra polskich „Karasi" strzegąc naszego transportu, który był bodaj czy nie najgroźniejszą jednostką pancerną. Szybko wyładowaliśmy się i kompaniami szurnęliśmy pełnym gazem do odległego o 10 klm. lasu w kierunku na Łask. Ledwo zdążyliśmy zamaskować czołgi, już nadleciały niemieckie bombowce. Kilka bomb padło może o 500 metrów od nas w zagajnik, przez który prze-

jeżdżaliśmy. Piloci niemieccy, sądząc widocznie po śladach, że tam musimy być, usiłowali zniszczyć Bogu ducha winny, ładny zagajniczek. Pokazały się jednak i nasze myśliwce. Wywiązała się walka, naturalnie, z większymi szansami dla hitlerowców, gdyż było ich 9, podczas gdy naszych tylko 4. Mimo to jednak, jeden bombowiec nieprzyjacielski runął odrazu na ziemię, ciągnąc za sobą płomienie i smugę czarnego dymu, wreszcie na ziemi rozerwał się własnymi bombami, których nie zdążył rzucić. Jeden z załogi wyskoczył na spadochronie, ale został natychmiast złapany przez okolicznych chłopów. Drugi zestrzelony wylądował stosunkowo dość szczęśliwie, bo nie przedstawiał kupy pogiętego żelastwa, ale był podobny do samolotu. Trzeci również skapotował gdzieś w lesie. Walka przeniosła się dalej, wkońcu Niemcy dali drapaka, nasi lotnicy rzucili się za nimi i straciliśmy ich z oczu.

Pobiegliśmy do zestrzelonego „Junkersa". W pewnym momencie słyszymy bliskie strzały. Co jest?... Okrążyliśmy go z drugiej strony i z tyłu napadliśmy na broniących się lotników niemieckich. Lufy naszych „Visów" poskutkowały. Hitlerowcy poddali się. Dwóch z nich było rannych, tylko pilot wyszedł cało. Wymontowali z lawety ckm-y i usiłowali się bronić. Odprowadzono ich do dowództwa. Z rozbitego „Flugzeuga" zabrałem, jako trofea spadochron, który służył mi przez całą wojnę za poduszkę i kilka drobiazgów z wyposażenia maszyny.

Wieczorem leśnymi i polnymi drogami pojecha-

liśmy w okolice Bełchatowa, gdzie na szosie spotkałem pierwszych uchodźców z Wielunia. Nie potrzebuję dodawać jak bardzo serce ściskało się na ich widok. Przyrzekłem sobie wówczas solennie pomścić ich krzywdy i z nawiązką odpłacić hitlerowcom.

Tu zauważyłem, że żywe oczy młodego bohatera, oświetlone jasnym płomieniem rozpalonego ogniska, świeciły jak dwie błyszczące perły.

Z niesłabnącą energią i niezwykle interesująco opowiadał dalej:

— Około północy zajęliśmy pośrednie stanowisko w lesie niedaleko miasteczka Wadlewa, gdzie po skromnej kolacji położyłem się pod czołgiem na krótki wypoczynek nocny. O świcie już ruszamy dalej pod Bełchatów, by zająć podstawę wyczekiwania na półkolistym skraju lasu. Czołgi doskonale zostały zamaskowane. Wybrałem świetne pole obstrzału, usuwając wszystkie zbyteczne gałązki z pola widzenia peryskopu. Oddział naszych czołgów miał dokładnie obserwować przedpole. Wrazie zaś pojawienia się nieprzyjacielskiej broni pancernej ostrzelać ją, a następnie rzucić się do pościgu. Szwabi jednak nie pokazali się, widocznie byli o nas uprzedzeni przez swój wywiad. Jak się potem okazało zmienili kierunek, uderzając na Piotrków. W nocy ruszył nasz oddział za nimi. Jeszcze przed samym wieczorem byliśmy świadkami dwóch strasznych walk powietrznych, w których spadło pięć bombowców nieprzyjacielskich i dwa polskie myśliwce.

Parę godzin przeczekaliśmy w lasku obok wsi Bogdanów. Następnego dnia rano batalion zaczął się ugrupowywać. Mój pluton pod dowództwem por. Zarugiewicza został wysłany na zwiad terenu, ewentualnie do nawiązania walki z patrolami nieprzyjaciela i zajęcia podstawy wyjściowej na skraju lasu, już poza Wolą Krzysztoporską. Żadnych patroli ani oddziałów nieprzyjaciela nie zauważyliśmy, z wyjątkiem samolotów, z którymi niestety nie mogliśmy wszcząć walki, gdyż równałaby się ona bitwie jastrzębia z żółwiem. W międzyczasie dowódca nasz wysłał kaprala Kuduka motocyklem na zwiad do najbliższych osiedli: Jeżowa, Rozprzy i Parzniewic.

Nasze stanowisko znajdowało się na skraju dość gęstego, liściastego zagajnika, tuż z lewej strony szosy, za Wolą Krzysztoporską. Przed nami rozciągało się ściernisko, z kupkami zżętego prosa. Obok był olbrzymi szmat ziemniaków. Dalej — kawał zaoranego pola, na nim trzy olbrzymie sterty zboża. Następnie łąka z niewielką, ale bagnistą rzeczką, wreszcie wioska Jeżów, z dworem na skrzyżowaniu i dość dużym parkiem. Za dworem teren się podnosił i widać było jak na dłoni, szosę w kierunku na Gorzkowice.

Dowódca wyjaśnił nam, jaka jest sytuacja. Naszym zadaniem było urządzić zasadzkę na broń pancerną nieprzyjaciela. W parku obok dworu stał pluton piechoty ckm. Na lewym skraju wioski — działon artylerii lekkiej. Reszta batalionu urządziła podobne zasadzki w innych punktach.

Kompania druga kapitana Hajdenki była odwodową.

W pewnej chwili zgłosił się goniec z meldunkiem od dowódcy plutonu piechoty. Przyniósł on wiadomości, że most na rzeczce zerwany i że na tym odcinku zniszczone zostały cztery nieprzyjacielskie czołgi rozpoznawcze przy pomocy granatów, ckm-ów i butelek z zapaloną benzyną. Dwa czołgi zdobyli dzielni piechurzy w chwili, gdy załogi nieprzyjacielskie opuściły je celem dokładniejszego zbadania rozwalonego mostu.

Niespodzianie rzucili się nasi z granatami i natychmiast ich wykończyli. Dwa pozostałe czołgi zaczęły się bronić, gęsto strzelając z ckm-ów.

Tu pomogły znów granaty i płonąca benzyna. Jeden stanął odrazu w płomieniach, drugi zaś zdążył wykręcić i począł wiać. Zatrzymała go jednak celnym strzałem zamaskowana w jakimś sadzie 75-ka. Z dwóch pierwszych roztrzaskanych czołgów zabrali nasi broń i mapy. Jedną z map przyniósł nam właśnie goniec. Z nie małym zainteresowaniem wszyscy ją oglądali. W kilku miejscach była zakrwawiona. Wykonana rzeczywiście zadziwiająco dokładnie i przejrzyście.

Niebieskim ołówkiem nakreślone były nasze przypuszczalne stanowiska. Goniec otrzymał instrukcje i odjechał w kierunku dworu, o jakie dwa kilometry od nas oddalonego

Niedługo po nim nadjechała na rowerze jakaś panienka. Zatrzymaliśmy ją. Kto?... Skąd?... Poco?... Okazało się, że to Jasia z pobliskiego Jeżowa, ucieka przed Niemcami, którzy są już

bardzo blisko. Po dostarczeniu nam ważnych informacji o ruchach nieprzyjaciela pojechała dalej, obdarowana przez nas sucharami. A była bardzo głodna.

Już zaczynaliśmy nudzić się trochę bezowocnym gapieniem się, jak sroka w kość, na odległą drogę, czy nie jedzie czasem jaka kolumna nieprzyjacielska, gdy nagle odezwały się krótkie serie ckm-ów na pobliskich wzgórzach. Na pełnym gazie wpada, wysłany na zwiady kpr. Kuduk. Przyczepka w kilku miejscach przestrzelona. Jedna opona przedziurawiona. Cudem uniknął śmierci. Po spełnieniu swego zadania, w drodze powrotnej został pod Parzniewicami ostrzelany przez ckmy niemieckie zainstalowane już w terenie.

O godzinie 15-ej ujrzeliśmy na horyzoncie olbrzymie chmury kurzu, z którego po chwili zaczęły się wyłaniać charakterystyczne sylwetki samochodów pancernych i czołgów. Pozwolono im dojechać do zerwanego mostku, nad potokiem, którego i tak nie byli w stanie przekroczyć. Dopiero wtedy nasza piechota, zachęcona poprzednim sukcesem, jak nie ruszy z granatami w ręku... Za chwilę już trzy sam-pance palą się. Zaczęła walić natychmiast i nasza ukryta artyleria. Znów kilka wozów pancernych strzaskanych. Wtedy cała kolumna czołgów nieprzyjacielskich rozwinęła się i uderzyła na skraj wioski, spodziewając się tam spotkać conajmniej kilka naszych baterii. Odezwała się również artyleria niemiecka. Wówczas drugi i pierwszy pluton rzu-

ciły się do przeciwnatarcia. My stanowiliśmy odwód, więc mogliśmy spokojnie obserwować walkę. Nieprzyjaciel widząc nasze czołgi „7TP" szarżujące na pełnym gazie, mimo znacznej przewagi liczebnej, zrobił „w tył zwrot" i za chwilę znów ujrzeliśmy tumany kurzu na drodze. Plutony nasze, nie mogąc przebyć w tym miejscu rzeczki, by rzucić się w pościg, musiały zawrócić, tymbardziej, że odezwała się na nowo artyleria nieprzyjacielska.

Czołgi nasze dojeżdżały już do lasu, gdy nagle ukazały się eskadry bombowców niemieckich. Nie dość, że artyleria zaczęła nas wymacywać, jeszcze samoloty rozpoczęły grzać bombami. Początkowo siedziałem na wieży mego czołgu, obserwując zmieniające się jak w kalejdoskopie wypadki; nagle o kilkanaście metrów z boku wybuchł pocisk „75-ki". Pęd powietrza wtłoczył mnie formalnie do wieży.

Przezornie zamknąłem klapę i już przez peryskop obserwuję dalszy bieg wypadków. Po chwili znów diabelski wstrząs czołgu i łomot po pancerzu. Coś zasłoniło mi peryskop. Próbuję unieść klapę, ale szkoda gadać, ani drgnie. Nowy wstrząs i huk. Taka zaczęła się kanonada jakby jakieś kościotrupy po blaszanym dachu swoje harce wyprawiać zaczęły. Wtym, wśród największego grzmotu odzywa się radio: „Rysie — tu Żbik... Rysie — tu Żbik... Wycofać się natychmiast za Wolę Krzysztoporską... Słuchać dalszych rozkazów..."

Kolega mój, Dudek, włącza starter, Gra!...

Wrzuca jedynkę... gaz... puszcza sprzęgło.. Silnik kaszle i gaśnie mimo pełnego gazu. Ani rusz... u... u.. u.. pomyślałem sobie, kiepsko z nami. Mimowoli zatrzymuję wzrok na metalowym ryngrafie, który przysłała mi matka przed wojną z Częstochowy. Boża Rodzicielka, jakby błogo uśmiechać się chciała do mnie małą metalową twarzyczką. Czuję wstępującą do serca otuchę. Nagle — ogłuszający huk i wstrząs. Czołg podskoczył w górę chyba na pół metra. Przed peryskopem zrobiło się widno. Dudek znów włącza starter, przekonany, że już silnik rozwalony. Jednak nie... Zaryczał wszystkimi sześcioma cylindrami. Jedynka... gaz... i o dziwo!... z łatwością ruszamy. Za jakąś chwilę, mimo dalszych eksplozji, wychylam nos spod klapy. Przed nami leży olbrzymi dąb, który ścięty pociskiem armatnim zwalił się całą swą ogromną koroną na nasz czołg nakrywając go i unieruchomiając zarazem. Dalsze wybuchy pocisków porozrywały go do reszty, a przez to samo ułatwiły nam ruszenie z miejsca. Wyszliśmy z tej opresji stosunkowo cało, bo tylko dwa peryskopy boczne były rozbite, i kilka rolek częściowo porwanych. Na pancerzu zaś było widać duże rysy i moc wgnieceń jako ślady odłamków pocisków artyleryjskich i bomb niemieckich, które padając na jakieś 5 metrów od czołga, nie mogły z tej odległości wyrządzić nam większej krzywdy.

Spełniając rozkaz dowódcy podany nam przez radio wycofujemy się za wieś. Ledwo wyjechaliśmy na szosę, za lasem znów wpadły na nas

bombowce. Żeby was jasny dunder świsnął — życzyłem im w duchu. Jeden z samolotów spikował nad kolumną i tuż obok nas z piekielnym hukiem wytrysnął w powietrze słup ziemi. Na szczęście bomba nie trafiła żadnego z naszych. Zaraz wybuchły inne — też nie celne. Wpadliśmy do wsi — bomby za nami. Rzuciliśmy się przez jakieś sady, podwórka w olbrzymi łan kukurydzy, czy końskiego zębu, na szczęście tak wysokiego, że z łatwością skryły się w nim czołgi. Zamaskowaliśmy się. Hitlerowcy nie zauważyli jednak tego manewru i dalej intensywnie bombardowali drugi skraj wsi, dopóki nie wzniecili pożaru. Sądząc, że wykończyli nas — odlecieli. A my tymczasem najspokojniej wracamy na dawne stanowiska. Przywołana odwodowa kompania kapitana Hajdenki zajęła pozycje na lewo od nas.

Nie zdążyliśmy dobrze odsapnąć, a tu znów na horyzoncie widzimy olbrzymie kłęby kurzu. Nasza artyleria tym razem milczała. Pośpiesznie też wycofywała się z parku piechota. Dwór cały stał w płomieniach. Saperzy niemieccy w błyskawicznym tempie naprawiają most. Czuję, że za chwilę damy tu szwabom dobrą lekcję pokazową.

Nagle zabrzęczał w słuchawkach głos dowódcy: „Rysie — tu Żbik!... Teraz nie strzelać, tylko na rozkaz!..."

„Żbik, tu Ryś... rrrozkaz!!..." krzyknął w mikrofon rozłoszczony tym Gryziecki. Kiedyż wyjadą?... Oczekujemy niecierpliwie. No, nareszcie... ukazują się... Jeden, drugi, trzeci i jeszcze więcej. Zbliżają się. Już tylko 300 me-

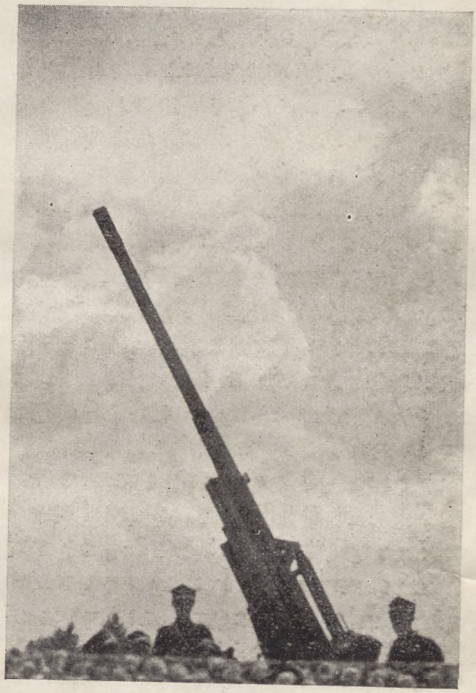

Nasze działo przeciwlotnicze na stanowisku.

trów ... już 200... Czy nas nie widzą? Z napięciem słuchamy dalszej komendy. Dlaczego dowódca milczy? Jakby w odpowiedzi na to radio śpiewa: „Rysie, tu Żbik! Przed nami czołgi niemieckie, otworzyć ogień, celować w klapy kierowców..."

Natychmiast biorę na cel drugiego, ładnie podprowadzam krzyż na ciemną plamę klapy i czekam, aż pierwszy stanie, jak umówiliśmy się. Rzeczywiście — rozlega się błyskawiczny huk działka. Na pancerzu pierwszego czołgu hitlerowskiego widzę tylko niebieskawy błysk — i jak śmiertelnie raniony dzik, wóz konwulsyjnie skręca w bok, wpada do rowu i tam staje nieruchomo. Prawie jednocześnie naciskam pedał... Huk... i ten sam jadowity błysk na pancerzu... Gadzina wpada na słup telegraficzny, wali go... staje... Gryziecki błyskawicznie ładuje działko. Poprawiam mu od „lewiczki". Naraz widzę... otwiera się klapa, ukazuje się czarny łeb, za chwilę tułów. Momentalnie przełączam na ckm. Naciskam pedał, raz, drugi, trzeci. Zagrały serie. Błyskawice pocisków świetlnych — dokładnie wskazywały ich drogę. Teraz już bezwładna szmata zwisała z wieży. Grzmotnąłem w czołg jeszcze raz z działka. Za chwilę stał już w płomieniach.

To samo stało się z pierwszym „gratem", którego zamieniły w pochodnię celne strzały Józka Bieniarza — obok mnie stojącego tuż przy szosie. Przeniosłem teraz ogień na dalsze jeszcze ruszające się czołgi niemieckie. Spokojnie, jak na poligonie, waliłem na przemian z działka i ckm.

na tempo raz, dwa trzy, w takt walczyka, którego podgwizdywałem sobie przez zaciśnięte zęby.

Jurek Gryziecki, przyznać trzeba, spisywał się znakomicie, w błyskawicznym wprost tempie ładował działko. Znów kilkoma strzałami unieruchomiłem dwa czołgi. Owładnęło mną wtedy dziwne uczucie. Czułem jakąś dziką radość, dumę i szaloną satysfakcję, że oto wróg dostaje po skórze, i że rzucimy się może wkrótce w pościg, by wygnać najeźdźcę, a po drodze wykończyć go zupełnie, że wreszcie okrzyczana pancerna broń niemiecka jest naprawdę diabła warta, a ich obsługi bardzo „odważne", ale w spotkaniu z ludnością cywilną. „Macie mordercy! za krew naszych braci, kolegów; za krew i łzy niewinnych matek i dzieci..." — krzyczał przez zaciśnięte zęby Tadek Dudek, obserwując z radością przez swój peryskop, coraz to liczniej płonące graty hitlerowskie.

— Tylko celnie strzelaj — prosił błagalnie — nie zmarnuj ani jednego pocisku.

Wtem odzywa się znów radio:

„Trzeci pluton do natarcia! Kierunek — prawy skraj wsi Jeżów. Po drodze likwidować pozostałe czołgi nieprzyjaciela i piechotę. Potem rzucić się w pościg na prawym skrzydle kompanii!" — wrzasnął przez radio głośno kpt. Próchniewicz.

Dudek aż zapiał z radości. Momentalnie ruszyliśmy na gazie przez szosę i potem wzdłuż całej kolumny niemieckiej, z której prawie połowa już była zniszczona, reszta usiłowała się bronić. Jak huragan przejechaliśmy po Niemcach. Pamiętam

tylko, że wjechaliśmy na jakiś czołg. Zauważyłem naprzeciw siebie jasno-czerwone płomyczki ckm. i wściekły skowyt serii po pancerzu. Natychmiast przełącznik na działko; kopnąłem pedał. Złowrogi błysk na czarnym pancerzu i poczwara stoi. Dudek tymczasem zgrabnym wirażem wyprowadził czołg w bok, nie chcąc spowodować „kraksy".

Po jakiejś chwili nawinął się samochód opancerzony z piechotą. Tu było dopiero wesele. Istne polowanie na kaczki — gdy spasione hitlerowskie piechury pancerne zaczęły gramolić się ze swojej klatki. Wykończyliśmy ich co do jednego ckm-em do spółki z Jaremą. Potem wpakowaliśmy się na szosę, spychając opuszczone przez załogi hitlerowskie czołgi do rowu, gniotąc je niemiłosiernie. W końcu ganialiśmy jeszcze po polach jakąś piechotę z granatnikami i ckm'ami. Do pościgu poszła również kompania kpt. Hajdenki, zmuszając do szybkiej ucieczki pozostałe kolumny nieprzyjacielskie. Szwabi, którzy dostali się pod nasz ogień, zostali wycięci w pień. Ani jeden chłop nie został żywy.

— Zbiórka bojowa na lewym skraju lasu przy szosie — drżącym z uciechy głosem krzyknął w radio nasz dowódca.

Natychmiast zaczęliśmy zajeżdżać, zostawiając na polu trupy, czarne szkielety i płonące jeszcze graty hitlerowskie...

Pięknie wyglądał przy ognisku, w on pamiętny wieczór, mój znajomy młody bohater Mietek Białkiewicz. Na głowie miał z wyszytym polskim orłem czarny beret, zwisający z fantazją na lewą

skroń, a na szarym mundurze żołnierskim tylko malutką odznakę broni pancernej.

Tak obrazowo i z takim przejęciem potrafił opowiadać swoje przeżycia, ze choć mówił dość długo, nikt mu nie śmiał przerywać.

Duże ognisko już się dopalało... Z rozżarzonych głowni rozlegał się wokoło cichy trzask, a czasem głośniejszy huk, do strzału podobny...

Dawno już minęła północ.. Zmęczenie i wyczerpanie zacząłem coraz bardziej odczuwać. Przed samym odejściem powiedziałem jeszcze tylko:

— Jeden ci kładę na sumienie obowiązek, Mieciu kochany; wszystkie te swoje tak ciekawe przeżycia z ostatniej wojny póki nosisz je świeżo w pamięci, masz dokładnie opisać w pamiętniku. Będą one bowiem kiedyś w Polsce najlepszym świadectwem i dowodem bohaterskich wyczynów zawsze odważnego naszego żołnierza polskiego.

Uścisnąłem mocno dłoń memu znajomemu kapralowi, pożegnałem jego towarzyszy przy ognisku i udałem się na spoczynek.

PRZED TWE OŁTARZE...

Po dwudniowym postoju w uroczej dolinie pod Raho, kolumna nasza ruszyła w dalszą drogę. Jechaliśmy w kierunku miasta Beregszaz, gdzie znajdowało się dowództwo 6-go korpusu węgierskiego, upoważnionego do przejęcia naszego sprzętu wojskowego.

Piękna droga, wysadzana starymi, zupełnie do polskich podobnymi, chylącymi się wierzbami prowadziła cały czas wśród wąskiej kotliny podkarpackich wzgórz, które stopniowo zmniejszając się, przechodziły w końcu w dużą rozległą równinę.

Na którymś kilometrze przed Beregszaz, z rozkazu naszego dowódcy, zostały rozdane żołnierzom wszelkie zapasy bielizny, ubrania i żywności znajdujące się w samochodach.

Niektórzy ze sprytniejszych żołnierzy dobrze sobie wyładowali wtedy całe worki różnymi rzeczami. Przy tej okazji zaopatrzyłem się i ja w nowy plecak, manierkę, koc, ciepłą bieliznę, parę butów, trochę sucharów i konserw.

W godzinach przedpołudniowych dywizjon nasz podjechał pod miasto. Musiał stać w kolejce za innymi oddziałami, które już tu przybyły wcześniej.

Celem załatwienia wszystkich formalności niezbędnych przy oddawaniu władzom węgierskim sprzętu wojennego, major z kilkoma oficerami udał się samochodem naprzód.

Po kilkugodzinnym postoju na rozkaz dowódcy z kolumny wyjechało najpierw, udając się w stronę miasta, dwadzieścia ciągników z przyczepionymi do nich działami przeciw-lotniczymi, a następnie kilka wozów z amunicją i karabinami żołnierskimi.

Nie jednemu z nas obecnych na ten widok zakręciły się łzy w oczach.

Pozostałe samochody wraz z żołnierzami miały odjechać do pobliskiego dworu (majątku państwowego) przeznaczonego dla nas na tymczasową kwaterę.

Podczas, gdy samochody z żołnierzami czekały na rozkaz odjazdu, wsiadłem na rower i pojechałem do pobliskiego miasta. Postanowiłem złożyć wizytę miejscowemu księdzu proboszczowi i ewentualnie poprosić o szaty liturgiczne do Mszy świętej, którą chciałem nazajutrz z rana odprawić, jako pierwszą Mszę polową dla całego dywizjonu.

Broń i amunicję przewiezioną przez granicę oddało wojsko nasze w Beregszaz na obszernym dużym placu, gdzie w kilku szeregach obok lekkich i cięższych karabinów maszynowych stały już mniejszego i większego kalibru armaty, a nawet i czołgi. W oddzielnej grupie stały już również ustawione w rzędzie działa 11-stego dywizjonu.

Potężne kadłuby w dwóch szeregach milcząco stojących armat i grube lufy skierowane w górę zabłysły pod wieczór, jakby nimbem krwawym,

odbijając w lśniącej swojej stali ostre promienie zachodzącego słońca.

Podczas gdy dowódca załatwiając formalności, przez dłuższy czas rozmawiał z przedstawicielem wojska węgierskiego, podszedł do ustawionych armat jakiś stary, przygarbiony człowiek wysokiego wzrostu, o siwych dużych polskich wąsach i ostrych szlachetnych rysach twarzy. Z niezwykłym zainteresowaniem i z wielką ciekawością zaczął oglądać najpierw z daleka, później zbliska przywiezione przed chwilą działa. Dotykał niektórych części, albo głaskał błyszczące lufy stalowe. Zdawało się chwilami jakby objąć chciał rękoma i do serca przytulić zimną ich stal. Zdawało się zdaleka, że płakał, gdyż od czasu do czasu ocierał oczy, szepcąc coś do siebie z cicha.

Załatwiwszy sprawę i pożegnawszy oficera węgierskiego, major musiał przejść obok starca, w oczach którego zauważył łzy.

Zdziwiony zapytał go po niemiecku:

— Dlaczego pan płacze? Co się stało?.

— Jakże nie mam płakać, panie majorze — odzywa się piękną polszczyzną siwowłosy starzec. Jestem przecież Polakiem, a przy tym i synem emigranta. Nazywam się Przeździecki Michał.

— Czy z tej znanej w Polsce rodziny szlacheckiej pan się wywodzi? — zapytał major.

— Tak, będąc jeszcze dzieckiem przybyłem tu wraz z ojcem, powstańcem z r. 63-go. Tak samo, jak pan major, stał ojciec mój na czele oddziału, i podobnie jak wy dziś musiał szukać schronienia na węgierskiej ziemi.

— Ile lat pan sobie liczy?

— Dźwigam już ósmy krzyżyk... Na tułactwie wśród obcych spędzone, szybko minęły długie moje lata... Wszystko przeszło jak sen krótkotrwały... jak strumień szybkobieżny..., tylko w sercu pozostała na zawsze jedna i ta sama tęsknota za Ojczyzną... Przykro mi nad wyraz, gdy widzę, że synowie ziemi Ojców naszych, pielgrzymim narodem się stawszy, znów łzami obcą ziemię zraszają... Wierzę jednak niezachwianie, że wkrótce nadejdzie kres cierpienia, że wrócą nie zadługo wygnańców szeregi na zgliszcza swych zagród rodzinnych i odbudują na nowo Ojczyznę, sprawiedliwość społeczną, wiarę głęboką i męstwo za fundament Jej dawszy...

W krwawych blaskach zachodzącego słońca, na tle milczących polskich luf armatnich, stały obok siebie dwie postacie na chwilę pogrążone w głębokiej zadumie...

Szlachetna twarz młodego majora i zmarszczkami pokryta starego emigranta, dziwnie były rozpromienione. W oczach, obaj mieli łzy.

Po chwili wzruszony do głębi mój major, przy pożegnaniu serdecznie ucałował się z naszym emigrantem i mocno uścisnął jego starczą dłoń.

Nazajutrz, już od świtu, niewielka grupka żołnierzy gorliwie pracowała nad budową polowego ołtarza, który miał stanąć przy szczycie dużej szopy, czy wozowni na podwórku folwarcznym.

Od zarządcy miejscowego majątku żołnierze przynieśli piękny obraz Matki Bożej i parę dużych świeczników. Jeden zaś z żołnierzy wyrysował

Pierwsza Msza św. polowa na ziemi węgierskiej.

„Zlituj się zlituj, niech się nie tułamy..."

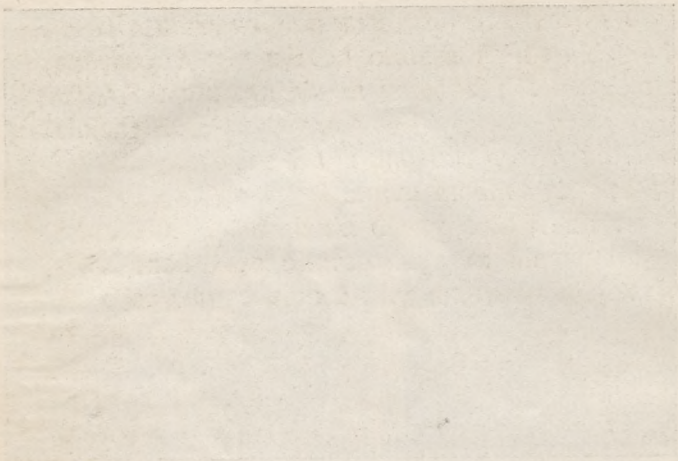

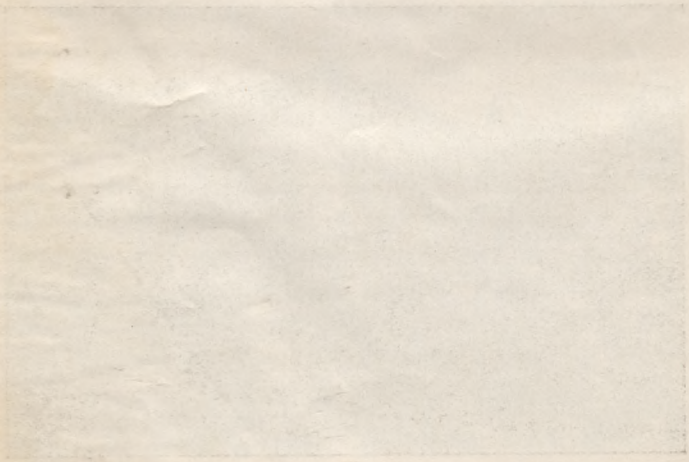

kredą na ścianie frontowej dużego orła polskiego i napis wyraźnymi literami: „Boże Błogosław Nam."

Punktualnie o godzinie ósmej rano poszczególne baterie ze swoimi dowódcami zajęły wyznaczone im miejsca naprzeciwko ołtarza. Tylną ścianę stanowiły rzędem stojące nasze ciężarowe samochody nakryte nieprzemakalnymi płachtami.

Rozległ się głos dzwonka.

Padła komenda: Do modlitwy!...

Msza rozpoczęła się... Zaledwie skończyłem ministranturę i wstępne modlitwy, buchnęła z tysiąca dwustu młodych piersi przepiękna pieśń żołnierska „Kiedy ranne wstają zorze..."

Potężnie brzmiały i majestatycznie rozpływały się głośnym echem po pobliskich polach mocne słowa „Twoje oczy obrócone, dzień i noc patrzą, w tę stronę, gdzie niedołężność człowieka, Twojego ratunku czeka..."

Na „Ofiarowanie" jeden z oficerów zaintonował „Serdeczna Matko".

Po słowach pierwszej zwrotki: „Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy; zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy", śpiew w pewnym momencie jakby się załamał i urwał. Wielu żołnierzy nie mogło śpiewać. Mało było takich, którzyby nie płakali na głos. Ja sam, również nie mogłem się opanować i powstrzymać łez cisnących się do oczu, kiedy odwróciwszy się po skończonej Mszy św. przemówiłem poraz pierwszy na obczyźnie, jako tułacz do polskich żołnierzy tułaczy.

W kilku miejscach mego przemówienia zmuszony byłem przerywać kazanie, nie mogąc powstrzy-

mać głębokiego wzruszenia na widok żołnierzy, już nie płaczących, lecz w głos szlochających.

Ale naprawdę, duszę już coś zaczęło do głębi szarpać, kiedy u stóp ołtarza żołnierskiego buchnęły jak wulkan słowa potężnej pieśni: „Boże coś Polskę"...

Oto pierwsze Bogu na obczyźnie złożone w ofierze gorące łzy i słowa modlitwy, jako wyraz jęku, skargi i wołania duszy żołnierskiej:

„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyzny Wolność racz nam zwrócić Panie..."

ZA PIĘĆ DWUNASTA

W grudniowy dzień świąteczny, dwa auta wypełnione po brzegi pasażerami, całym pędem szły szosą z obozu w Csiz do odległego o kilka kilometrów Banreve.

W samochodach jechało towarzystwo złożone z ośmiu osób, które zaprosił na obiad do siebie kapitan Sz....

Z okna samochodu tuż za wsią widać było piękny krajobraz wokoło zamknięty zębatymi wzgórzami; dalej widniały ciemno-błękitne masywy gór, a za nimi, hen daleko, na horyzoncie z lekka zarysowywały się jakby jasne, wielkie obłoki, kolorem do bieli śniegu podobne.

— To już nasze polskie Karpaty śniegiem pokryte! Jak doskonale je dziś widać — zauważył ktoś z jadących.

Wszyscy jak na komendę skierowali swój wzrok w tę stronę. Myślą byli wszyscy w Polsce...

Uradowany gospodarz domu wybiegł na przywitanie. Ładnie wyglądał w polskim mundurze. Na kołnierzu odcinały się błyszczące wężyki i gwiazdki na naramiennikach. Na lewej piersi zamiast medali i krzyży widniały w dwuch rzędach małe kolorowe wstążeczki. Z dobrych, szczerych jego oczu i twarzy biła radość.

Nie przestraszył się kapitan, że zamiast czterech spodziewanych, zjechało dziś aż osiem osób. „Gość w dom — Bóg dom".

Towarzystwo było nieliczne, ale dobrane i czysto wojskowe. Sześciu panów i pani majorowa z jedenastoletnią córeczką Wandzią o dużych szaro-błękitnych oczach do nieba polskiego podobnych, i długich ciemnych warkoczykach z wpleciona niebieską wstążką.

Czuli się wszyscy jak członkowie jednej szanującej się rodziny, łączył ich bowiem nie tylko jeden obóz dla internowanych, ale i jeden wspólny los: dola i niedola tych, którzy siłą i przemocą oderwani od własnej rodziny i Ojczyzny, byli zmuszeni wieść życie tułacze na obczyźnie.

Z ruchów i zachowania się odrazu poznać można było, że gospodarz jest człowiekiem inteligentnym i dobrze wychowanym. Pani majorowej i córeczce jej Wandziuni pomógł wysiąść z auta i po przywitaniu się ze wszystkimi poprowadził gości do siebie.

Za chwilę poproszono do obiadu. Nastrój był niezwykle serdeczny.

Na pierwszym miejscu posadzono panią majorową dostojnie i poważnie ubraną. Była to osoba może już po trzydziestce, niezwykle miła i przystojna, o dużych szaro-niebieskich oczach, jasnej zdrowej cerze i pięknym, miłym i nadzwyczajnie szczerym uśmiechu. Dobrze się czuła w tym gronie i przekonana była, że ją wszyscy otaczają na obczyźnie prawdziwą czcią i szacunkiem, a to nie tylko może dla jej pewnych zalet, ale przez pamięć

na męża, który dla wybitnych cech swojego umysłu i serca powszechnie był w Ojczyźnie kochanym i cenionym. Dziś stał się przecież bohaterem. Jako dowódca oddziału wytrwał do końca na posterunku. Ciężko rannego widziano ostatnio na placu boju.

Przy mamusi zaraz usiadła Wandzia, o której mówiono, że podobna jest jak kropla wody do tatusia. Obok zajęli miejsca przyjaciele, koledzy nieobecnego majora, resztę zaś wolnych krzeseł inni.

Gospodarz przygotował skromny jak na czasy normalne w kraju, a jak na czasy tułaczki od dawna przez uczestników nie spożywany „suty" obiad. Był rosół po polsku z makaronem, pieczyste, a nawet legumina. Poza tym popularny na Węgrzech, najtańszy napój „bor" czyli młode wino.

Od dawna nie widziane bliskie a polskie twarze, miły dźwięk ojczystej mowy, gościnność gospodarza sprawiły, że pod stopami swymi obecni poczuli jakby skrawek polskiej ziemi i całe towarzystwo po niedługim czasie zapomniało na chwilę o obczyźnie, a wpadło w miłe dla wszystkich złudzenie normalnych, choć już w rzeczywistości minionych dla nich czasów przedwojennych. Dał się słyszeć nawet rzadki, od dawna nie słyszany serdeczny śmiech. Chwilowe złudzenia jednak prysły, gdy pod koniec obiadu wywiązała się poważna i ciekawa dyskusja na temat każdemu ołowiem na duszy ciążący.

Głośno rozprawiano o utraconej Ojczyźnie, o

okrucieństwach niemiecko-bolszewickich, o rodzinach pozostałych w kraju, o strasznych ofiarach wśród wojskowych i cywilnych, wreszcie zaczęto szukać głównych przyczyn tak haniebnej, tak wielkiej w rozmiarach swoich i niesłychanej zarazem w dziejach świata katastrofie narodowej.

Jak strzały zatrute padały słowa za krtań chwytające.

— Nie byliśmy, niestety, przygotowani do wojny z Niemcami — rozpoczął najstarszy wiekiem oficer, siedzący przy majorowej. — Nie mogliśmy zwyciężyć, gdyż nie było i czym zwyciężać. Wiadome jest przecież, jak wiele materiału wojennego w Polsce wyprodukowanego szło zagranicę, dla nieszczęsnej konieczności ściągania do kraju dewiz. Słyszeliśmy w pierwszym tygodniu wojny „pouczającą" pogadankę radiową z Warszawy nadawaną o polskich działach przeciwlotniczych, celnie strzelających i broniących... ale Londynu, podczas gdy niemieckie bombowce hulały bezkarnie nad Polską. A czy nie przeceniliśmy liczby naszych samolotów dla celów propagandowych? A czy mieliśmy odpowiednią ilość dział przeciwpancernych w tym czasie, gdy wróg odwieczny stanął u granic naszej Ojczyzny, w tysiące samolotów i czołgów uzbrojony? A weźmy następnie szpiegostwo tak rozwinięte u nas. Iluż to szpiegów, jak się później okazało, mieliśmy na różnych stanowiskach i we wszystkich dziedzinach naszego życia?

Słowa starego oficera otworzyły nagle krwa-

wiące rany, w których ból jątrzył. Nastało ciężkie milczenie...

Po chwili odezwał się młody porucznik, rezerwista z Warszawy: — Cóż tu mówić o broni specjalnej. Brak nam było nawet zwykłych karabinów ręcznych i amunicji. Jestem pod Stryjem — dodaje po chwili. — Otrzymuję rozkaz uformowania oddziału z młodych rezerwistów. Proszę sobie wyobrazić, że na 250 ludzi otrzymuję kilka karabinów i po kilkanaście zaledwie naboi.

— Nie byliśmy, niestety, i moralnie silni i zdrowi — odzywa się następnie major o dobrze siwiejącej już głowie. — Gangrena duchowa przegryzła na wskróś dusze i sumienia wielu... Swoboda obyczajów, popieranie szkodliwej literatury i prasy, deprawowanie młodzieży, podważanie tej najważniejszej komórki społecznej, małżeństwa i świętości rodziny, propagowanie rozwodów, wyróżnianie apostatów, niedowiarków, rozwodników, a przytym protekcje, protekcyjki i wiele innych jeszcze bardziej rażących wad społecznych sprawiły, że mieliśmy w Polsce prawie stały kryzys jedności wewnętrznej, pogłębiany błędami politycznymi, których cienie padały na powagę Rzeczypospolitej.

Najstarszy w towarzystwie stopniem pułkownik zawodowy z krzyżem „Virtuti Militari" na piersiach z powagą i przejęciem malującym się na twarzy odzywa się spokojnie:

— Moim zdaniem trzy się złożyły najgłówniejsze przyczyny na to, że chwilowo ulegliśmy przemocy wroga: spóźniona mobilizacja, nie przygotowanie linii obronnej na zachodzie i wreszcie

niespodziewany cios, zadany nam znienacka przez bolszewików. Jednak stwierdzić musimy, że przecież nie tak łatwo przyszło Niemcom zdobyć Polskę, jak sobie może wyobrażali. Poczekajmy wszakże, a nie za długo może zobaczymy, co będzie z takimi państwami zachodnimi, jak Belgia, Holandia i Francja, które przecież mają czas przygotować się na błyskawiczny atak niemiecki, który bezwątpienia wcześniej czy później nastąpi.

— A jednak, niech kto co chce mówi — odzywa się znów młody porucznik z Warszawy, o czarnych, rozpłomienionych oczach — zawsze twierdziłem i twierdzę dziś, że nie pomniki, ale fortece na wschodzie i zachodzie Polska powinna była przez lat 20 budować. Siłę i przemoc tylko siłą i przewagą zwyciężyć można.

Zakłopotany nieco, z wypiekami na twarzy, wstaje gospodarz domu i prosząc o przerwanie rozmowy na ten ciężki i niezwykle bolesny temat oświadcza ze spokojem:

— Zebraliśmy się na to moi państwo, aby zapomnieć choć na chwilę o tym, co nas najwięcej boli. Niestety, jak widzimy, jest wśród nas dziś bardzo wielu, którym wydaje się, że zajmować winni miejsca w trybunale oskarżycieli, lub zasiadać na ławie obrońców. Moi państwo, trzeba nam się nareszcie otrząsnąć z hypnozy klęski, przestać krytykować i tonąć tylko w rozpamiętywaniu wad i przypominaniu tego, czego nie należało czynić. Raczej zwrócić się teraz musimy myślą i sercem ku przyszłości i dla niej tylko żyć. Proponuję wobec tego wypić zdrowie pani majorowej.

Moi żołnierze z XI Dywizjonu Art. Przeciwlotn.
po oddaniu broni na Węgrzech.

Jak na rozkaz dowódcy rozchmurzyły się twarze obecnych.

— A na końcu wypijemy za zdrowie tatusia — prawda mamo? — odezwała się mała Wandzia. Dziwnie miała rozpromienione oczy i cudny uśmiech na buzi.

— Aby jaknajprędzej wyzdrowiał i do nas przyjechał — dodała matka.

— Niech żyje tatuś Wandziuni! Niech żyją majorostwo!

Ostatni toast wypito do dna.

Po skończonym obiedzie goście z majorową na czele przeszli do drugiego pokoju, do zielonego stolika na bridge'a, a zmęczona Wandziunia ułożyła się na otomanie, gdzie wkrótce zasnęła.

Miło i szybko płynęły chwile i godziny w domu kapitana Sz. w on świąteczny dzień grudniowy... i ani spostrzeżono się gdy troskliwy gospodarz poprosił towarzystwo do kolacji, albowiem termin przepustek zbliżał się i goście musieli gotować się do powrotu.

Wieczerza miała się ku końcowi. Przy lampce wina wzniesionej na cześć gości przez gospodarza, ktoś z obecnych zaintonował „Upływa szybko życie..."

Uroczyście i harmonijnie na dwa głosy popłynęła melodia powszechnie znana i słowa piosenki: — Za rok, za dzień, za chwilę...

W drugim pokoju na otomanie, od dwóch godzin pod jasnym wełnianym kocem smacznym snem spała Wandzia. Ładne, lekko-różowe wypieki za-

kwitły na jej dziecięcej twarzyczce. Czasem zdawało się, jakby uśmiechać się chciała i rozmawiać z kimś. Zbudziła ją matka, kiedy od stołu wszyscy wstawać zaczęli.

— Wandziuniu, dziecko kochane, czas do domu — odjeżdżamy.

Panowie zbliżyli się też do otomany; dziecina zerwała się i jakby nawpół przytomna, przecierając oczy z pewnym grymasem i żalem odzywa się: „Dlaczego już mnie mamo zbudziłaś? taki miałam cudny sen... Widziałam tatusia, leżał na łóżku, okryty białą kołdrą, w dużej oświetlonej sali — ślicznie i dobrze wyglądał. Na stoliczku przy łóżku leżał krzyż, wiesz mamusiu, ten z którym się tatuś nigdy nie rozstawał, co go miał od babci i zabrał z sobą na Zaolzie. Tatuś głowę miał tylko obwiązaną i rękę. Lekarze i Siostry Miłosierdzia w białych ubraniach chodzili po salach. I w tym — wiesz mamo? — stanął nagle przy tatusiu wielki anioł. Skrzydła miał duże, ale twarz bardzo surową. Jakby się gniewał na kogoś. Podał tatusiowi duży miecz, który trzymał w ręku. Obok stał drugi anioł o bardzo łagodnej i pięknej twarzyczce, w długiej fałdzistej jasnej sukni. W ręku miał wieniec z liści laurowych. W sali obok słyszałam wyraźnie, jak chór jakiś śpiewał... Nawet zapamiętałam niektóre słowa tej pieśni: Za rok... za dzień... za chwilę...

Wszyscy z zapartym tchem wsłuchani byli w ten przemiły, niewinny szczebiot dziecięcy. Tylko w oczach matki błyszczały, jak perły, dwie wielkie łzy...

Pułkownik, przyjaciel i najbliższy kolega męża pani majorowej, ojciec 11-letniego syna, którego zostawił w Polsce, objął ramionami Wandzię i długi ojcowski pocałunek kładąc na jej czole, wpatrzony w szczere oczy dziecięce, mówił ze wzruszeniem:

— W tobie, dziecino i w oczętach twoich niewinnych, stęsknionych za ojcem ukochanym, który spełnił swój święty obowiązek, tak jakbym widział dziś całą moją Ojczyznę niewinnie cierpiącą i łzami zalaną...

Goście zaczęli się zbierać, nucąc z cicha:

„Upływa szybko życie...
Za rok, za dzień, za chwilę..."

Zawarczały motory, błysły oślepiające światła reflektorów samochodowych, ruszyły wozy z miłymi gośćmi i przyjaciółmi, znikając na drodze prowadzącej do obozu oficerskiego w Csiz...

Gospodarz domu, kpt. Sz.... długo stał samotny na ganku, po którym wiły się, jak ciernie, zeschnięte, poplecione gałęzie dzikiego wina.

Na zakręcie szosy raz jeszcze w ciemnościach nocy błysnęły dwa światła...

Po przyjeździe do Csiz pożegnałem miłe i zacne towarzystwo. Pozostałem sam ze swoimi myślami, przeżyciami i wrażeniami dnia.

Przed udaniem się na spoczynek chciałem jeszcze przejść się. Ruszyłem szeroką drogą. Minąłem w śnie pogrążony nasz obóz oficerski, szereg domów wiejskich, też już drzemiących wśród nagich spokojnych drzew przydrożnych. Zatrzymałem

się tuż za wsią w miejscu, gdzie droga wije się przez największy pagórek i skręca do Banreve. Długo patrzyłem w ciemną dal i wsłuchiwałem się w niezmąconą ciszę nocną, jakbym chciał się w niej dosłyszeć czegoś... coś dojrzeć... tam hen... daleko przed sobą.

Po raz pierwszy odczułem w sercu ciemną i głuchą, jak ta chłodna noc grudniowa pustkę i rodzącą się z niej tęsknotę za Ojczyzną... za krewnymi i bliskimi.

Przetarłem wilgocią zaszłe oczy. W tym zdało mi się, że w ciemno-niebieskiej bezbrzeżnej dali zarysowały się cokolwiek jaśniejsze z lekka fioletowo-różowe nierówne pasy na niebie, do postrzępionych dziwnie wydłużonych chmur podobne, które ukazują się czasem przed samym wschodem słońca.

Czyżby to, myślę sobie, już dniało?... Czyżby to miały być tam daleko, hen, nasze góry polskie?...

W tym w uśpionej wsi węgierskiej rozległo się pierwsze pianie koguta.

Czyżby to już miał się zbliżać świt?... A ze świtem szedł by jasny dzień Wolności?... Coś mi się zdaje zawcześnie. Wszak nie obeschła jeszcze krew i gorzkie płyną jeszcze łzy...

Z za gór podnosił się majestatycznie, jak ofiarna hostia biała, nieskalany, srebrzysty księżyc.

Spojrzałem na zegarek. Była za pięć... dwunasta.

Tegoż autora w przygotowaniu:

„Szlakiem Tułaczym“,

„Szlakiem Rycerzy Krzyżowych“

Spis Rozdziałów

Słowo wstępne

1. Krwawy znak 1
2. Na Widawskim rynku 9
3. Przed odejściem 13
4. W ostatnią niedzielę 19
5. W drodze 29
6. Pod Szczercowem 36
7. W dalszej drodze 40
8. Żegnaj mi grodzie rodzinny 46
9. Stryków i Brzeziny 52
10. Po drodze do Jeżowa 60
11. U ks. Kanonika w Jeżowie 66
12. Zbrodniarze 74
13. Jak na pobojowisku 78
14. W Warszawie 85
15. Zapóźno 95
16. Lublin w płomieniach 104
17. Żelazny Generał 113
18. Na kresach Polski 121
19. W dzień przekroczenia granicy 132
20. Na tułaczym szlaku 143
21. Przy ognisku 151
22. Przed Twe ołtarze 165
23. Za pięć dwunasta 171

Biblioteka Główna UMK

300000118802

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

711125